Ilustracja Polska

we Francji

Nr. 234. 7-go kwietnia 1940 r. — Le 7 Avril 1940. Rok X.

Cena — Prix
We FRANCJI . . . 1,5
En FRANCE . . frs. 1,5
W BELGJI 2,0
En BELGIQUE fr. b. 2,0
W HOLANDJI . . . 0,1
En HOLLANDE guld. 0,1

ADRES
Redakcji i Administracji
LENS (Pas-de-Calais)
101, Rue Emile - Zola, 101.

Wychodźcy polscy w szeregach francuskich

Treść nr. 234

Polityka i Wojna.

(Zdjęcia): Z niedawno zakończonej wojny rosyjsko - fińskiej. — Zasłużona rozrywka. — Hitler i Mussolini. — Żołnierze kanadyjscy w Anglii głosują. — Po posiedzeniu Rady Wojennej w Londynie. — Wojskowi uprawiają rolę. — Na froncie. — Ku frontowi. — Ministrowie nowego rządu francuskiego. — W strefie wojskowej. — Nie wszystkie pociski wybuchają. — Pożytecznie spędzają urlop. — Wino dla żołnierzy. — Msza św. polowa. — Drut kolczasty dla frontu francuskiego. — Francuskie wojsko zmotoryzowane. — Mały kraj broni wielkiej sprawy. Mina chińska eksploduje. — Wojna w Chinach.

—oOo—

Gen. Haller wśród Wychodztwa Polskiego w Ameryce.

(Zdjęcia): Po modlitwie na śniadanie. — Polskie dzieci ofiarują kwiaty. — W biurze prezesa N. N. P. — Dwaj wybitni mężowie stanu. — Minister Haller gościem Z. N. P. — Na cześć wybitnych gości.

—oOo—

Indyjski skarb.

Odcinek bardzo zajmującej powieści.

—oOo—

Miny morskie. — Imperium Dżengis Chana. — Ciekawe fakty o Polsce i Polaakch.

—oOo—

Jak uratowano skarb Polski.

Wydarzenia jakie towarzyszyły wywożeniu skarbu państwa z Polski do Francji.

—oOo—

Dawne historie z życia zwierząt.

O białych niedźwiedziach, o koniach, szczurach i tygrysach.

—oOo—

Ogień i ludzie. — Fale ultrakrótkie mają zwalczać mgłę. Praca, rozrywka, sen. — „Najczystsza" rasa w Niemczech.

—oOo—

Starszy Strzelec Wojtek Grosik, pisze liścik do swej Zosi. — Zocha Nitka bardzo rada, dla Wojtaszka odpowiada.

List żołnierza do ukochanej oraz jej odpowiedź. (Rubryka ta będzie ukazywała się odtąd w każdej „Ilustracji"). — Dowcipy.

—oOo—

Dla dzieci i młodzieży.

O wiewiórce, którą bolały zęby. — Pędziwiatr. — Do skowronka. — Obrazki.

—oOo—

Znani nam ludzie w karykaturach.

16 karykatur znanych osobistości.

W powyższej grupie żołnierzy sprzymierzonej armii francuskiej znajduje się 9ciu Polaków naturalizowanych:- Woszczyna, Pluskota, Zieliński, Widorski, Ignaszak, Sikora, Polewicz, Strzelczyk, Wierzbowski i jeden Francuz Dumont. — Ulubioną lekturą żołnierzy jest „Narodowiec". B.I. 5303

FOP 1792

POLITYKA I WOJNA

Z niedawno zakończonej wojny rosyjsko - fińskiej

Prezydent Kallio w czasie inspekcji na froncie.

31.581.

Wojskowi uprawiają rolę

Na terenach przygranicznych żołnierze wykonują prace rolne. 68.581

Hitler i Mussolini

Hitler i Mussolini spotkali się ostatnio na przełęczy Brenneru, gdzie, jak to głosiła propaganda niemiecka, zapadły sensacyjne postanowienia. Jakiego rodzaju mają to być postanowienia, świat dotychczas się nie dowiedział. 65.360

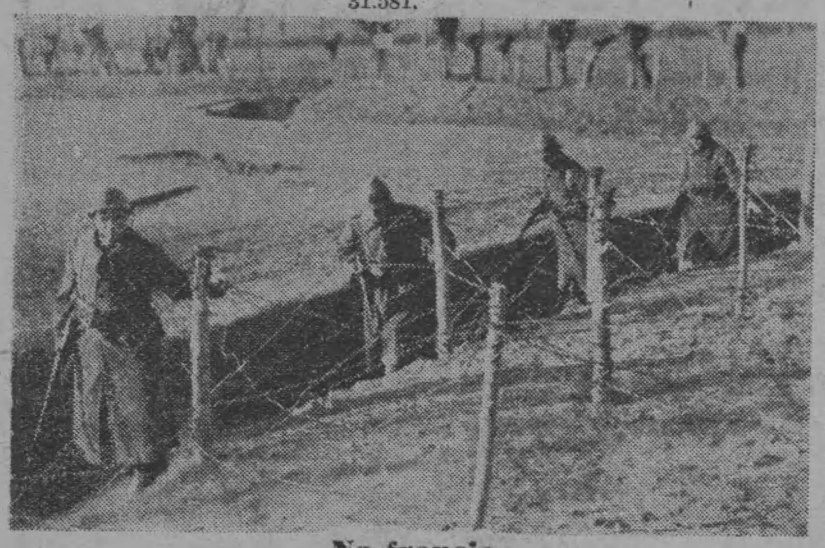

Na froncie

Patrol wraca z wywiadu. 62.331

Po posiedzeniu Rady Wojennej w Londynie.

Gen. Gamelin, głównodowodzący wojsk francuskich, opuszcza Downing Street.

69.590

Zasłużona rozrywka

Wesołe obrazy świetnie bawią żołnierzy. 54.216

Ministrowie nowego rządu francuskiego

Minister uzbrojenia, Dautry, rozmawia z reporterami. 66.831

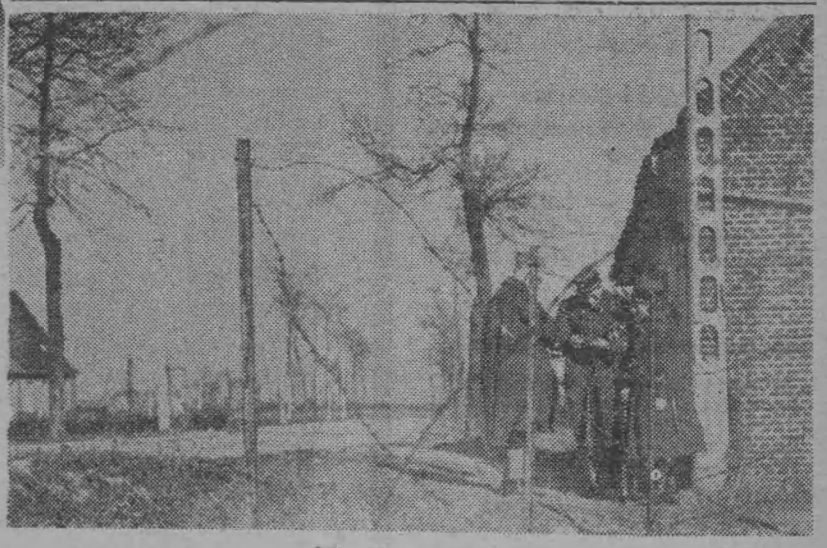

Ku frontowi

Na posterunku granicznym celnicy rozmawiają z oficerem. 62.33

Min. lotnictwa. Laurent Eynac, opuszcza gmach min. finansów, po rozmowie z premierem, Paul Reynaud.

66.737

W strefie wojskowej

Warta w pobliżu zapory na drodze.

56.727

Żołnierze kanadyjscy w Anglii głosują

Kanadyjscy żołnierze, przebywający w Anglii, również uczestniczyli w wyborach do parlamentu swego kraju. Kartki wyborcze wkładali do urn, które wysłane zostały do Kanady. A. 4974

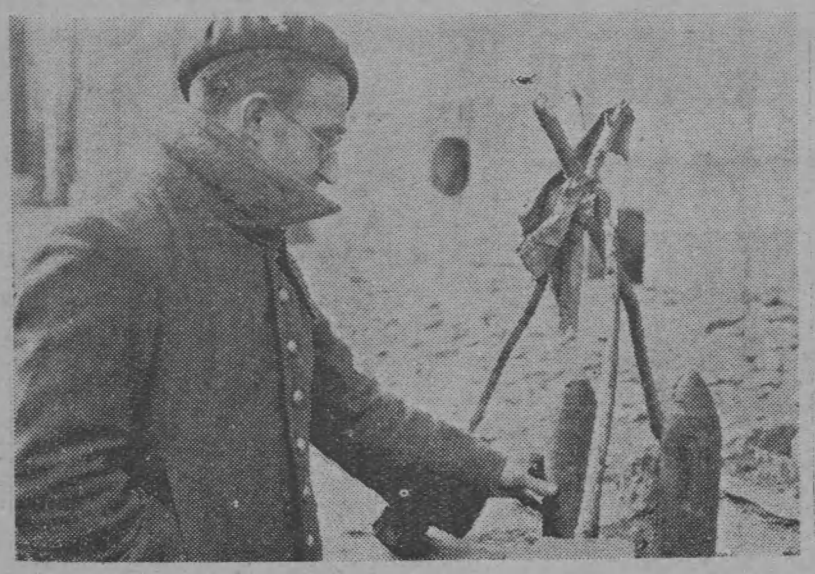

Nie wszystkie pociski wybuchają

Na zdjęciu widzimy sposób sygnalizowania na froncie niewybuchniętych pocisków. 62.665

Wino dla żołnierzy

Podsekretarz stanu dla obrony narodowej, Hipolit Ducos, w towarzystwie dyrektora intendentury okręgu paryskiego, kosztuje wina przeznaczonego dla żołnierzy. 64.109

Drut kolczasty dla frontu francuskiego

Fabryki angielskie produkują wielkie ilości drutu kolczastego, przeznaczonego na front francuski. A. 5.125

Mały kraj broni wielkiej sprawy

Królowa wyspy koralowej Tonga, którą widzimy powyżej, gdy przyjmuje defiladę swego wojska, posiada zaledwie 32.000 poddanych. Malutkie to państewko należy do dominium brytyjskiego i jako jedno z pierwszych ogłosiło swą solidarność z Wielką Brytanią i Francją w walce o słuszną sprawę. A. 5963

Pożytecznie spędzają urlop

Żołnierze, bawiący na urlopie, w czasie zwiedzania Muzeum Inwalidów w Paryżu. B.I. 5284

Msza św. polowa.

celebrowana „gdzieś" we Francji. 68.297

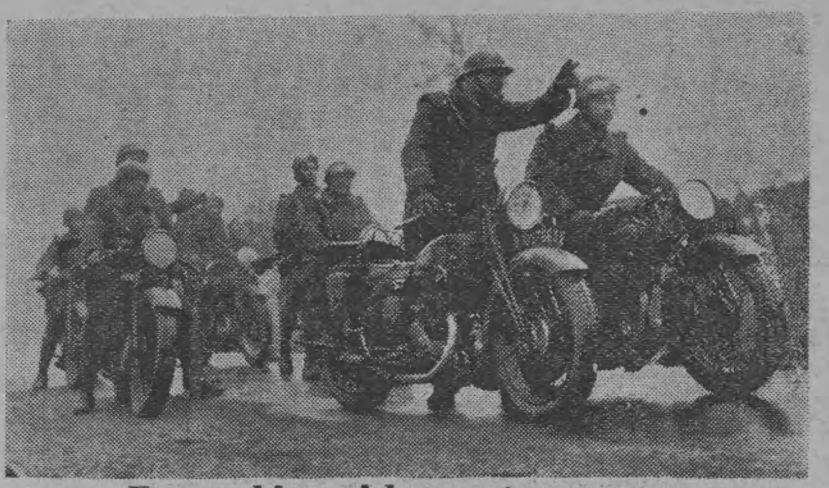

Francuskie wojsko zmotoryzowane

Oddział wywiadowczy batalionu motocyklistów. 59.928

Mina chińska eksploduje

Ogromna ta fontanna powstała na rzece po eksplozji miny chińskiej. B.I. 5293

Niespodziewany stróż

Piesek wydaje się być bardzo zadowolony z znalezionego przez siebie wygodnego miejsca. 67.808.

Gen. Haller wśród Wychodztwa Polskiego w Ameryce

Generał Haller, dowódca armii polskiej we Francji w r. 1918 a obecnie minister stanu w Rządzie gen. Sikorskiego, podróżuje po Stanach Zjednoczonych, na czele delegacji, której zadaniem jest nawiązanie kontaktu z tamtejszym Wychodztwem polskim. Członkowie delegacji odwiedzają główne ośrodki polskie i przemawiają na zgromadzeniach wobec tysięcy zebranych rodaków.

Polacy amerykańscy witają wysłanników Rządu Polskiego we Francji bardzo serdecznie, okazując żywe zainteresowanie i współczucie dla gnębionej przez wrogów Ojczyzny. Dla nieszczęśliwych braci, cierpiących pod okupacją i przebywających na wygnaniu chętnie składają dary, aby choć częściowo ulżyć ich niedoli. — Delegacja gen. Sikorskiego osiąga cel, dla którego została wysłana do Ameryki.

Po modlitwie na śniadanie. — Minister gen. J. Haller, po opuszczeniu świątyni, pośród sztandarów swoich dawnych żołnierzy, w drodze na pleban ię ks. kanonika Gronkowskiego

(B.I. 5262)

W biurze prezesa Z. N. P. — Minister gen. Józef Haller i prezes Zw. Nar. Polskiego I. K. Rozmarek, podczas wizyty ministra w Domu Związkowym.

(B.I. 6263)

Polskie dzieci ofiarują kwiaty. — Na wielkim wiecu w Zbrojowni m. Detroit, młodzież polska złożyła hołd i kwiaty gen. Hallerowi. Za gen. Hallerem stoi p. Sudek, komisarz Z. N. P.

(B.I. 5266)

Dwaj wybitni mężowie stanu. — Na wielkiej manifestacji w Chicago przemawiali — były prezydent Stanów Zjednoczonych, Herbert Hoover, — kierujący obecnie akcją pomocą dla Polski — i minister Rządu Jedności Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej, gen. Józef Haller.

(B.I. 5265)

Minister Haller gościem Z. N. P. — W sali posiedzeń Zarządu Centralnego przy udziale Zarządu Centr. i innych urzędników oraz wybitnych związkowców, na czele z prezesem I. K. Rozmarkiem, odbyło się oficjalne powitanie gościa.

(B.I. 5264)

Na cześć wybitnych gości. — Rada Polonii Amerykańskiej podejmowała delegację polską przy udziale organizacyj chicagowskich. Na zdjęciu — gen. Haller siedzi między konsulem Ripą i cenzorem Świetlikiem. Drugi od lewej siedzi słynny śpiewak, Jan Kiepura.

Fotografie: „Dziennik Związkowy" (Zgoda) (B.I. 5267)

ADAM CZEKALSKI

INDYJSKI SKARB

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy)

3)

— Bardzo niewiele. Jedno jest tylko pewne, a to, że kasta czarnej swastyki przybyła tutaj na wiele dziesiątków stuleci przed narodz. Chrystusa, a ma ona wywodzić się z kasty kapłańskiej jakiegoś bajecznie starożytnego rodu Ariów. Jak wiadomo kasta kapłańska wszędzie na świecie i od najdawniejszych czasów zawsze przodowała w danym kraju. Tak było w starożytnym Egipcie, Asyrii i Babilonii, tak było w państwie Inków i Mayów, tak było wszędzie zresztą na świecie gdziekolwiek istnieli ludzie i wierzyli w jakiekolwiek bóstwa, tak wreszcie jest i dnia dzisiejszego. Nie trudno sobie wyobrazić, że w tych warunkach kasta kapłańska musiała dojść do nielada perfekcji i doskonałości w rzeczach rozumu i ścisłego myślenia, a jeśli np. o medycynę chodzi, to ta w nauce miejscowych yogów bije skutecznie o kilka długości wiedzę taką wśród ludzi białych. Kasta czarnej swastyki w Indiach to kwiat wszystkiego, co się nazywa nauką i rozumem. Posiada ona sobie tylko znane tajemnice, którymi zadziwić może największe sławy naukowe ludzi białych.

— Zaczynam się obawiać, inspektorze, że podjęcie walki z tymi ludźmi będzie i trudne i niebezpieczne. W jakiż jednak sposób Borowicz mógł dojść do źrodła prawdy i poznania w tej kaście? Czyżby mieszańcy mieli tam wstęp wolny?

— Nie, musiało się to stać w zgoła odmiennych warunkach. Kapłani z kasty czarnej swastyki nie przypuszczają do swoich tajemnic ludzi ani białych, ani mieszańców. Dlatego i Borowicz nie mógłby się tam dostać, gdyby nie okoliczności, które musiały mu mocno sprzyjać. Z tego, co mi pan o nim opowiedział, wynika, że po matce jest on hindu. Znaczy to, że matka jego pochodziła właśnie z tej kasty czarnej swastyki. Że zaś ci najczystszej krwi Ariowie bardzo niechętnie wypuszczają od siebie członka, w którego krwi znajdowałby się nawet najminimalniejszy procent ich własnej krwi, przyjęli go przeto do kasty i wtajemniczyli w niektóre swoje prawdy. Wszystkiego rzecz prosta, nie powiedzieli mu. Nauczyli go tylko tych rzeczy, które nie są świętymi wśród świętych, a które zna prawie każdy przeciętny Aria z kasty. Nam, ludziom białym, zniszczonym przez alkohol, tytoń i inne narkotyki, wszystko, czego sami dokonać nie potrafimy, wydać się musi nadzwyczajne, nadnaturalne, nieomal cudem. I nie dziw! Nie chcę być czarnym prorokiem, ale tak mi się coś wydaje, że piękna era ludzi białych zmierza ku zmierzchowi. Tempo życia współczesnego, narkotyki, tak zgubne dla wszelkiego organizmu ludzkiego - niszczą ludzi białych i zabijają w nich wszelkie siły duchowe, którymi w przeciwieństwie do nas, tak wspaniale władają hindusi.

— Przewiduje pan zatem wspaniałą przyszłość Indyj, inspektorze?

— Tak, ale zanim do tego dojdzie, przeminie jeszcze wiele, wiele czasu. Lecz chwila taka jednak nadejdzie. Skłóceni i żrący się ustawicznie ludzie biali o najmarniejsze kąski ziemi, nie liczą się jeszcze dzisiaj z rozmachem ras kolorowych, które pozbywają się swojego dzieciństwa i wyrastają w wiek męski, zagrażając bezpośrednio wszystkim białym. Dynamizm tych ras, gdy dojdzie do najwyższego napięcia, może podbić wszystkich białych i podporządkować ich sobie. Historja zna już z dawnych wieków dynamiczny zasięg władców żółtych, którzy w swoim czasie spadli na Europę.

Barłamp miał ochotę zapytać,czy inspektor nie widzi przypadkiem w Ghandim przywódcy owych blisko 400 milionów ludzi kolorowych Indyj, ale się powstrzymał, wiedząc o tym, że Anglicy w Indiach bardzo nie lubią, gdy się wspomina przy nich Ghandiego. Dźwięk tego nazwiska uważany jest przez Anglików za gruby nietakt, a sir John Redclief był przecie rodowitym Anglikiem.

— No, ale zostawmy tymczasem te sprawy na boku — uśmiechnął się znowu sir John — a zajmijmy się tym, co nas najbardziej w danym momencie obchodzi, to jest — naszymi crimami i Borowiczem.

Sir John podniósł słuchawkę i rzucił w tubę hasło, a następnie zapytał jakiegoś niewidzialnego rozmówcę, czy policja nie przyprowadziła dotąd żadnego crima. W odpowiedzi usłyszał informację, że owszem, w tej chwili znajduję się ich czworo w areszcie miejscowym.

— Dobrze — odrzekł na to z czarującym uśmiechem inspektor do telefonu — proszę mi kolejno przyprowadzić tych ludzi. Czy listonosz Jusuf odszedł już? Nie jeszcze? To dobrze. Niech on tu zaraz przyjdzie do mnie.

Mister John rzucił słuchawkę na widełki, zatarł ręce i powiedział do Barłampa:

— Albo mamy szalone wprost szczęście, albo też crimowie ci zostali nam umyślnie przez kogoś podsunięci. Zaraz pan zobaczy, jak wyglądają ludzie, których najszczytniejszym zadaniem w życiu jest kradzież.

— Czy jest Jusuf? —zapytał inspektor.

— Czeka na wezwanie, Sahibie.

— Wprowadź go tu. Crimowie niech poczekają w areszcie, dokąd ich nie wezwę.

— Yes, Sahib!

Wszedł znowu Jusuf zaspany i prawie ziewający. Widocznie spał gdzieś w korytarzu na ławie, nie śpiesząc się bynajmniej do swojej pracy, z której zwolniono go w dniu dzisiejszym dla przesłuchań w policji.

— Słuchajno, babu — odezwał się inspektor — czy ty poznałbyś któregoś z tych crimów, którzy cię napadli?

— O tak, Sahibie.

— Pamiętasz ich dobrze?

— Pamiętam, Sahibie.

— To dobrze. Stań sobie z boku, ot tam, pod ścianą, i będziesz się przyglądał kolejno tym crimom. którvch tu kolejno będą wprowadzać.

Jusuf kiwnął tylko głową i ustawił się w miejscu wskazanym mu przez inspektora, a ten zatelefonował na odwach i polecił przyprowadzić do swego gabinetu najstarszego z crimów. Po kilku minutach w drzwiach znowu ukazała się głowa babu w czerwonym zawoju i w następnej chwili do gabinetu wszedł rosły starszy już crim, zupełnie prawie nagi, bo imitacja opaski na biodrach, brudna i prawe z odległości cuchnąca, nie mogła zasługiwać na nazwę jakiejkolwiek szaty. Sir John przyjrzał mu się ciekawie i uśmiechnął się do siebie.

— Jak się masz Angadi Venkatigadi? Cóż ty tu robisz, człowiecze, aż w Bombaju? Czy aż tak daleko chadzasz za komyszą ? zapytał inspektor z ironią.

Hindus odpowiedział tylko uśmiechem na powitanie inspektora i milczał.

— Czegóż nie odpowiadasz? Czy chcesz, ażeby pręty bambusowe moich babu przypomniały ci mowę?

— I not speak english — mruknął crim.

— Doprawdy? Nie mówisz po angielsku? Mój babu zaraz ci przypomni ten język, którym władasz od biedy, o czym ja wiem tak samo dobrze, jak i ty, mój stary Angadi.

Inspektor nacisnął dzwonek i w gabinecie zjawił się policjant.

— Przynieś pałki bambusowe i zawołaj Deshmutha, aby temu oto crimowi dał po piętach i przypomniał mu język angielski.

Babu skłonił się i wyszedł, a inspektor zwrócił się znowu do crima.

— Słuchaj, Angadi, jesteś starym już złodziejem, dobrym przestępcą i po śmierci na pewno szakale już pierwszej nocy samotnego spoczynku w grobie wywloką cię z niego i porozwłóczą twoje kości po polu, abyś się mógł odrodzić w innej lepszej postaci. Dlatego przemawiam do ciebie, jak do człowieka poważnego i mędrca, a nie do takiego, który odrodzi się w tygrysie lub szczurze. Będzie mi żal, jeżeli ty, stary złodziej, najpoważniejszy mędrzec w swej kaście, dostanie pięćdziesiąt kijów bambusowych w pięty, jak zwyczajny zdechły kot. Czy wtedy którykolwiek z crimów powie o tobie: oto idzie Angadi który ukradł sześciu babu w czerwonych turbanach? Napewno nie. Będą się z ciebie śmiali, i dzieci będą cię palcami pokazywały, mówiąc: oto idzie Angadi Venkatigadi, który dostał od babu w czerwonych turbanach pięćdziesiąt kijów bambusowych w pięty.

— O Sahibie — mruknął kruk.

—No, powiedz, Angadi, czy chcesz tego?

— O Sahibie — powtórzył swoje crim.

— Radzę ci namyśleć się szybko, bo tylko patrzeć, jak tu przyjdzie Deshmuth, ten sam, którego w swoim czasie ukradłeś. Czy myślisz, że on będzie żałował pałek bambusowych dla ciebie? Na pewno nie. Odliczy ci równe pięćdziesiąt kijów tak solidnie, że długi czas nie będziesz mógł stanąć na nogach, nie będziesz mógł kraść i urządzać swoich kawałów z Broody Gangami.

— Co chcesz wiedzieć, Sahibie? — zmiękł już znacznie w swym uporze crim, słysząc, że drzwi się za nim otwierają i widząc wchodzącego Deshmutha z dwiema laskami bambusowymi.

Inspektor dał znak policjantowi, aby się oddalił. Potem zwrócił się do crima:

— Po co przybyłeś do Bombaju?

— Ty wiesz, Sahibie.

— Kraść, prawda? Dobrze. Kto ci kazał napaść z drugim ba-

bu na listonosza i gdzie podziałeś list dla Bank of India, który zabrałeś?

—O Sahib, i ty temu wierzysz? Czy kiedy jakikowiek crim umiał czytać? Czy kiedy jakikolwiek crim dostał choćby raz w swoim życiu jeden list?

— Słuchajno, Angadi, nie kręć, ale odpowiadaj na pytania: gdzie podziałeś list, który zabrałeś listonoszowi?

— Ja nie zabrałem żadnego listu, Sahibie.

— Deshmuth! — krzyknął inspektor.

Policjant zjawił się natychmiast w gabinecie.

— Każ temu babu położyć się na ziemi i odlicz mu pierwsze dziesięć pałek w jedną piętę.

Deshmuth z widoczną przyjemnością zabrał się do operacji i wbrew gwałtownemu protestowi Angadiego, odliczył z satysfakcją dziesięć tęgich razów w jedną z pięt hindusa.

— Teraz wyjdź i poczekaj za drzwiami — rozkazał inspektor.

Crim siedział na ziemi i rozcierał zbitą piętę. nie podnosząc wcale wzroku ani na inspektora, ani na Barłampa. Usta ścięły mu się w nienawistnym grymasie, oczy przygasły, głowa skłoniła się na pierś już wyschłą i wychudłą.

— Angadi, czy będziesz mówił prawdę? - odezwał się znowu inspektor.

Hindus nawet nie drgnął, jakby słowa inspektora nie do niego się odnosiły. Sir Redclief zrozumiał, że teraz daremnie siliłby się na skłonienie tego człowieka do mówienia. Znał go dobrze. Skinął więc na Jusufa i spytał:

— Babu, znasz tego crima? Przypatrz mu się dobrze.

Listonosz patrzył przez chwilę na zbitego hindu, a potem powiedział:

— Yes, Sahibie, to ten sam hindu, który zacisnął mi palce na szyi.

— All right! Deshmuth! — ryknął inspektor w stronę drzwi które natychmiast się otworzyły i na progu stanął policjant. — Zabierz tego babu i zaprowadź do aresztu razem z tymi wszystkimi crimami, jacy w tej chwili znajdują się na odwachu.

Policjant wyprowadził hindu, a gdy i Jusuf się oddalił, sir John odezwał się do Barłampa:

— Nie wskóraliśmy nic. To było do przewidzenia. Nie wypada nic innego teraz zrobić, tylko jutro wypuścić Angadiego na swobodę i posłać za nim dwa cienie. W ten sposób najprędzej dobrniemy do jakiejś nitki, która może dowieść nas do kłębka, w środku którego siedzi Borowicz.

— Dlaczegóż zatem, inspektorze, kazał mu pan odliczyć te dziesięć kijów? — zdziwił się Barłamp. — przecież ten człowiek nie będzie teraz mógł wcale chodzić.

Inspektor roześmiał się.

— Niech się pan nie obawia. Ten babu da sobie radę i już jutro będzie chodził na swojej pięcie tak samo swobodnie, jak chodził dzisiaj przed bastonadą Deshmutha. A dziesięć kijów trzeba mu było dać, skoro zagroziłem już bastonadą. Gdybym nie dotrzymał słowa, Angadi nie miałby dla mnie najmniejszego respektu.

— Jeszcze jedno, inspektorze, wspomniał pan coś w rozmowie z Angadim o jakichś sześciu skradzionych policjantach. Cóż to za historia?

Sir John znowu zaczął się śmiać.

— To doprawdy cała historia! W swoim czasie służyłem w okolicy siedzib crimów i miałem pod swoimi rozkazami również i Deshmutha. Raz dowiedzałem się, że crimowie dokonali wielkiej kradzieży i mają zamiar dzielić się łupami. Trzeba nadto panu wiedzieć, że ów Angadi Venkatigadi, to największy łotr pomiędzy crimami. Jest to niekoronowany król największych i najsprytniejszych złodziei, oszustów, wydrwigroszów wielkiego odłamu tego szczepu. W kradzieży tej, o której mi doniesiono, banda brała udział pod wodzą samego Angadiego. Trzeba było odebrać łupy. Posłałem więc, jak wspominałem, sześciu policjantów dobrze uzbrojonychp. Poszli i — mijał dzień za dniem, a o moich babu ani słychu, ani dychu. I cóż się okazało? Oto crimowie dowiedzieli się zawczasu o planowanym na nich zamachu, (a mają oni wprost znakomity wywiad), czekali cierpliwie na zjawienie się policjantów, a gdy ci przyszli, rozbroili ich i zamknęli w szopie dobrze strzeżonej. Od tego czasu Angadi nosi dodatkowy tytuł „ człowieka, który ukradł sześciu policjantów".

— I cóż się stało z tymi policjantami?

— Wyprawiłem się som w cztery dni później za nimi i uwolniłem ich. Od tego czasu moich sześciu babu szuka ustawicznej okazji do pomszczenia swojego wstydu na crimach, czego małą próbkę miał pan przed chwilą. Deshmuth z największą rozkoszą wymierzył Angadiemu te dziesięć kijów.

— To jednak nie posunęło nas w naszych poszukiwaniach ani o krok naprzód.

— Spróbujemy od jutra innego sposobu: puścimy Angadiego wolno i wydam hukum, aby go śledzono. On sam doprowadzi nas do końca jakiejś nitki. Na dzisiaj dość — powstał inspektor — czas iść na wypoczynek, gdzieś w cień, do chłodu. Nadchodzi żarkie południe.

Barłamp powstał, pożegnał inspektora i pojechał do siebie.

IV.

KESSUDA

Ożóg dostał wiadomość przez zaufaną służącą Rustuma, pozostającą na usługach Kessudy, że Kessuda pragnie go widzieć możliwie najrychlej w sprawie ważnej i pilnej.

Jan ubrał się natychmiast i poszedł na miejsce z dawna umówione między nimi na schadzki. Już z daleka zobaczył Kessudę przechadzającą się z książką w ręku i odczytującą głośno wersety z Rubajat Omara, owego subtelnego poety perskiego, który zawsze był najmilszym autorem Kessudy.

— Hallo, Kessudo! — zawołał Jan z daleka.

Zobaczyła go, wsadziła książkę pod pachę i poszła mu naprzeciw.

— Dobrze, że przyszedłeś — powiedziała z uśmiechem — mam ci wiele do powiedzenia. Czy ta biała pani odjechała już do Simli?

— Jeszcze nie, mamy bowiem jechać tam razem. I ty przecież wybierasz się tam z woli ojca?

— Nie wiem jeszcze, czy pojadę.

— Jak to? Dlaczego?

— Chodźmy stąd a opowiem ci.

Poszli przez wspaniały park, pełen najwymyślniejszych roślin, jakie widzieć można jedynie w krainach podzwrotnikowych, w przepastnych dżunglach dziewiczych lub w parkach umyślnie zakładanych po to, aby dać tutaj spotkanie tym wszystkim drzewom i roślinom, które zaliczamy do rzadkich i pięknych. Park bombajski był pusty prawie. Powietrze było duszne, upalne i przepachnione woniami wydzielanymi przez roślinność ogrodu. Zdawać się mogło, że zebrano wszystkie zapachy składu aptecznego i rozlano je wśród traw, klombów i kwietników tego wspaniałego parku.

— Janie, posłuchaj mnie — odezwała się w pewnej chwili Kessuda — wiesz dobrze, że cię kocham. Jestem Parsjanką, ale nie jestem kobietą tak ciemną, jak moja matka, ani nie jestem zwolenniczką endogamii. Może to prawo zawierania związków małżeńskich we własnej kaście jest dobre, może jest celowe i usprawiedliwione, może ja popełniam grzech wobec przeszłości mojej kasty, być może, ale nie mam sił dzisiaj postępować tak jak postępują inne kobiety mojej kasty. Widziałem świat ludzi białych, poznałam go i pokochałam. Nie chcę już dłużej być niewolnicą przepisów i kanonów mojej kasty, chcę być wolną, rozporządzać własną osoba, jak człowiek wolny, a nie jak niewolnica, która ma słuchać tylko ojca, potem męża i wreszcie najstarszego syna. Spotkałam ciebie - wiesz, że nie taiłam się nigdy z tym, ile mi drogim jesteś. I zdawało się, że moje marzenia i moje sny o szczęściu prawdziwym i wielkim ziszczą się. Słowa Omara brzmiały mi wiecznie w uszach:

O wybuchajcie całunki płomienne
mojej miłości. Zamilknijcie usta
gdy dusza mówi! Usycham z pragnienia
nad jasnym, rzeźwym strumieniem miłości.

I naraz zaczyna się dziać wszystko na opak, zaczyna się dziać tak, jakby marzenia moje miały zostać na zawsze tylko rojeniami, które w życiu nigdy się nie ziszczają.

— Kessudo, o czym mówisz? Ja nic z tego nie pojmuję.

— Wczoraj wieczorem rozmawiałam z ojcem — odrzekła na to Kessuda, skupiając twarz w powadze i zamyśleniu. — przywołał mnie do siebie, był bardzo łaskaw, wspominał o tobie i powiedział, że nie będzie miał nic przeciwko naszemu małżeństwu jeżeli po trzech miesiącach okaże się, że miłość nasza się utrzyma.

— Czyż więc masz powód do zmartwień, Kessudo? Wszakże to nam tylko na rękę.

— To prawda. Ale posłuchaj dalej: kiedy odeszłam do siebie i przez okno wyglądałam na dziedziniec, zobaczyłam człowieka, który przychodził potajemnie do naszego domu. Widziałam go już dwa razy przedtem i wiem, że człowiek ten zawsze ojcu mojemu przynosił takie wiadomości, które go martwiły i rozkazywał mu wykonywać takie rzeczy, że wszyscy się dziwili.

— Kim jest ten człowiek?

— Biały. Nie znam jego imienia i nie wiem skąd przychodzi. Raz zjawł się w szatach świetnego plemienia Ariów, które mieszka na pograniczu Rajputany i Punji.

— Aaa! Czy widziałaś tego człowieka z bliska?

— Nigdy ale słuchaj dalej: człowiek ten przybył do naszego domu znowu wczoraj i zamknął się z ojcem. Pobiegłam do drzwi, aby posłuchać, o czym rozmawiają i słyszałam, jak nieznajomy nakazywał mojemu ojcu, aby mnie wysłał razem z tobą i ową białą lady do Simli, gdzie już on i jego bracia kastowi mną się zaopiekują.

— Po cóż ci ta opieka? I na czym ona ma polegać?

— Właśnie nie wiem. Z urywków rozmowy jednak domyślam się, że ojciec wraz z owym nieznajomym planuje coś tajemniczego, a dusza moja wyczuwa, że spisek ten jest wymierzony przeciwko mojej miłości do ciebie.

— Dajże spokój, Kessudo, chyba stary Rustum nie zamierza pozbawić cię życia? Jesteś jego córką, którą kocha naprawdę.

— I ja myślę, że nie o to chodzi. Nie znam całego planu i nie domyślem się nawet co chce ojciec, ale ci powiem, Janie, że ja się tego wszystkiego boję i najchętniej do Simli nie pojechałabym.

— Jesteś nierozsądna, Kessudo. Czyż mnie tam nie będzie? Czyż nie dowierzasz sile moich ramion?

— Wierzę ci i ufam, Janie, ale widzisz, nie zawsze siła muskułów wystarcza, zwłaszcza w Indach. O tym także nie zapominaj.

— Brednie, Kessudo, przewidziało ci się to wszystko i nic więcej. No maleńka, rozchmurz się i nie przejmuj takimi historiami.

— Czekaj, jeszcze jedna wiadomość. Czy ta biała lady nie nazywa się mrs. Stadnicka? (Ciąg dalszy na str. 11/12)

Pułk. E. Lecorbessier. (Prior)

Miny morskie

Miny morskie nie są wynalazkiem nowoczesnym. Pomysł wysadzenia statku przy zetknięciu się z naczyniem napełnionym prochem pochodzi z roku 1776. Wynalazcą miny morskiej był Amerykanin Bushell. Z początku rzucano do rzeki naczynia napełnione prochem. Naczynia te płynęły w dół rzeki, gdzie stały okręty i zetknąwszy się ze ścianami statków, wybuchały. W ten sposób użyto po raz pierwszy min przeciw flocie angielskiej w 1777 roku pod Filadelfią. Armia Waszyngtona nie uzyskała takiego rezultatu, jakiego spodziewała się po tym wynalazku.

Pomysłem Bushella zainteresował się Fulton, który udoskonalił minę morską i przedstawił wynalazek rządowi francuskiemu. Rzecz osobliwa, że Fulton, który wynalazł minę w celu niszczenia okrętów, był także wynalazcą sposobu poruszania statków zapomocą pary. Rząd francuski nie przyjął propozycji Fultona, uważając jego projekt godny rozbójników morskich. Kilka miesięcy później, Fulton zwrócił się do rządu angielskiego. Premier Pitt nabył wynalazek.

W roku 1809 jedna z eskadr angielskich uzbrojona była już w miny morskie. Były to beczki, naładowane prochem. Miny te posiadały mechanizm zegarowy, który prowokował wybuch. Podczas ataku na flotę francuską pod Boulogne, Anglicy użyli po raz pierwszy min, które istotnie wybuchły w pobliżu statków francuskich, ale nie wyrządziły większych szkód, gdyż było je widać i na powiechrzni. Okręty skutkiem tego mogły je ominąć z łatwością. Fulton ponownie udoskonalił miny i wynalazł sposób ukrycia ich pod powierzchnią wody.

Podczas wojny krymskiej (1854 — 1855) Rosjanie posługiwali się także minami. Rosjanie zakotwiczali miny na dnie morskim. Wiązali oni po kilka min razem zapomocą kabla. Okręt, który najechał na kabel, przyciągał do swoich ścian większą liczbę min i ulegał katastrofie.

Podczas wojny japońsko - rosyjskiej na początku bieżącego stulecia, miny morskie odegrały już poważną rolę w wojnie na morzu. Straty wyrządzone Japończykom przez Rosjan zapomocą min, były dotkliwe. Na skutek min Japończycy stracili bowiem jedenaście statków wojennych i cztery zostały ciężko uszkodzone.

Od tego czasu w poszczególnych krajach zaczęto budować okręty służące do stawiania i do wyławiania min.

Podczas wojny światowej, wojna min przybrała olbrzymie rozmiary. W ciągu czterech lat założono w morzu blisko 300.000 min (129.000 założyli Anglicy, 56.000 Amerykanie, 50.000 Rosjanie i 46.000 Niemcy). Na skutek wybuchów min w ciągu ubiegłej wojny poszło na dno przeszło milion ton statków: 19 krążowników liniowych, 63 kontrtorpedowce lub torpedowce, 16 łodzi podwodnych, 77 kanonierek, 235 różnych pomocniczych statków wojennych i liczne statki handlowe.

Cyfry te wykazują, że miny są potężnym środkiem niszczycielskim.

W ciągu wojny światowej po raz pierwszy użyto do stawiania min łodzi podwodnych, które podjeżdżały aż do brzegów angielskich i zamykały niejednokrotnie na kilka dni jakąkolwiek żeglugę.

W wojnie obecnej walka z minami morskimi została udoskonalona. Niemcy posługują się minami na wielką skalę, lecz nie osiągają zamierzonych skutków, jeśli chodzi o statki, przeciw którym walczą. Anglicy bowiem mają najnowocześniejsze sposoby wyławiania min. Środki działają skutecznie. Ofiarą padają natomiast masowo statki neutralne.

Ostatni wynalazek Niemców, polegający na wrzucaniu do morza samoczynnych min magnetycznych, został przez Anglików unieszkodliwiony w ciągu zaledwie kilku tygodni.

Chłopczyk zasiadł odważnie na wyrzuconej przez morze minie morskiej, i smacznie zajada lody.

(3600)

Wielkie Imperium Dżengis Chana

Zdobywca Mongolii władał obszarami, położonymi między Oceanem Spokojnym a Polską

Dżengis Chan żył na 700 lat przed erą dzisiejszych dyktatorów. Podbił on jednak więcej terytoriów, niż obecnie posiadają — Stalin, Hitler, Mussolini, z dodatkiem Japonii.

Pośród wszystkich podbojów, jakie kiedykolwiek były dokonane, niema podobnego, jakiego dokonał ten Mongoł, który urodził się i wyrósł w pustynnych okolicach wschodniej Azji, aby następnie stworzyć imperium, które się ciągnęło przez dwa kontynenty — z Azji aż do Europy. Był on wodzem koczowniczego plemienia Tatarów. Przed jego śmiercią 720 narodów i plemion spełniało jego wolę. Wierzył on, że stworzone przez niego imperium, trwać będzie wiecznie.

Dżengis Chan, wypędzony został posuchą ze swoimi Tatarami, gdzieś z głębi pustyni Gobi. Urodził się on w roku 1162. Legenda mówi, że ojciec jego, wojownik, gdy wrócił pewnego dnia z wojny, znalazł w ręku chłopczyka, który się tylko co urodził, kawałek pokrwawionej tkaniny. Wziął on to za symbol swojego ostatniego zwycięstwa. Dlatego właśnie nadał mu imię Temudżyn, tak się bowiem zwał jego wróg.

Gdy Temudżyn dorósł młodzieńczych lat, stał się liderem, nietylko swego plemienia, ale i kilku innych. W kilka lat później, dzięki organizacji i dyscyplinie, jaką zaprowadził w swej ordzie, stał się wodzem wszystkich plemion mongolskich.

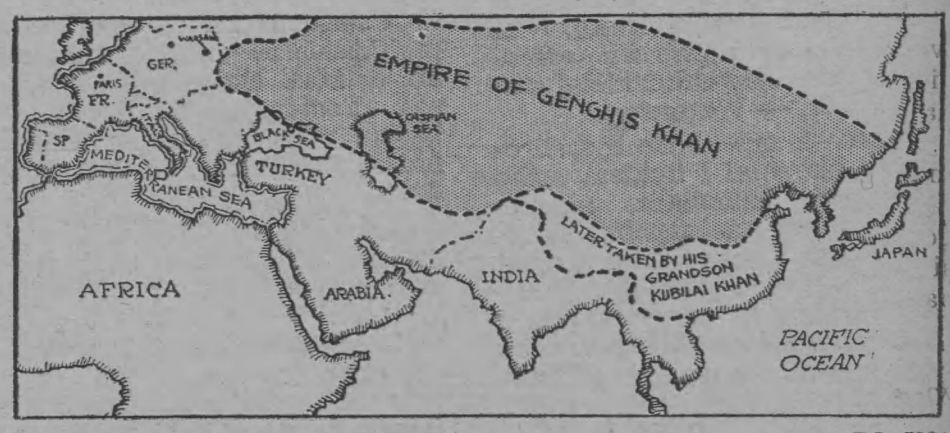

B.I. 5304

Z chwilą, gdy stanął na czele wszystkich plemion mongolskich i stworzył imperium mongolskie, — zmienił nazwę Temudżyn na Dżengis Chan, pod którą to nazwą znają go historia. Nazwa ta oznacza „dzielny wojownik" lub też „syn nieba". Takim zresztą czuł się Dżengis Chan.

Po owładnięciu niemal dwóch trzecich Azji, poprowadził on swoje ordy po przez stepy i góry — idąc po przez Północne Chiny, Chowarezmie, Centralną Azję, Kaukaz, obszary nadwołżańskie, podbił wschodnią Europę, po bitwie z Rusami w roku 1224, nad rzeką Kałką, nad którymi na trzysta lat zapanowali Tatarzy.

Tak zbudował Dżengis Chan jedno z największych państw na świecie. Pragnął on sławy, potęgi i bogactwa, które rzeczywiście osiągnął. Zresztą dlaczegoby nie miał tego osiągnąć? Czy nie był on „synem nieba"?

Tak myślał on i tak mu mówili jego duchowni i jego przyboczni.

Dżengis Chan posiadał bystry rozum. Ale posiadał również i złudzenie wielkości, co zresztą nikogo nie może dziwić. W dzisiejszych czasach spotyka się ludzi, którym się zdaje, że głową wszystkich przerośli. A cóż się dziwić takim jak on, w dawnych czasach. Jego moralność była prosta i dzika. Był on raczej panem, niż wodzem. Rezultatem tego było narzucenie niewoli narodom, a nie stworzenie państwa, opartego na pewnych przywilejach.

To też wiązania, jakie łączyły to imperium, były bardzo kruche i popękały w przeciągu dwóch generacji, po śmierci Temudżyna, która nastąpiła w roku 1227. Jeden po drugim, wyłamywały się kraje podbite i wracały do dawnej niezależności. Jego pierwsi następcy — prawda, nie utracili nic z tych zdobyczy, a nawet dodali jeszcze nowe ziemie do potężnego imperium. Ale już w następnych paru dziesiątkach lat zaczęło się to wszystko rozpadać.

Pozostała jednak nazwa i sława. W siedem wieków po jego śmierci, Dżengis Chan nie przestał być wielkim bohaterem Mongołów. Kursują nawet legendy, że wielki Dżengis nie umarł, pogrążony jest tylko we śnie i kiedyś zbudzi się do nowych podbojów.

Ciekawe fakty o Polsce i Polakach

Na rynku w Krakowie jest malutki kościółek św. Wojciecha, który został wybudowany jeszcze w XI. wieku na miejscu, gdzie ów święty miał kazanie przed wyruszeniem do Prus, ażeby tam nawracać pogańskich Prusaków.

* * *

Więcej niż przez sto lat Hohenzollernowie byli wasalami króla polskiego (1515 — 1655), to znaczy musieli mu składać hołd, jako swemu zwierzchnikowi.

* * *

Manuskrypt „Chłopów", powieści napisanej przez Władysława Reymonta, która dostała nagrodę Nobla, był złożony w willi, w której zmarły pisarz mieszkał w Łowiczu. Powieść „Chłopi" została przetłumaczona na prawie wszystkie języki świata, a nawet na język japoński. Czy rękopis zdołano uchronić przed grabieżą, nie wiadomo.

* * *

Walka między Polakami a Niemcami zaczęły się w X - stuleciu. — Pierwsze echa o nich odbiły się w legendzie o Wandzie, córce Krakusa, która wolała utopić się w Wiśle, niż wyjść zamąż za niemieckiego księcia i oddać Polskę w niewolę niemiecką.

* * *

Książe Bolesław statutem kaliskim z 1246 dał wiele praw i przywilejów żydom. Później Kazimierz Wielki potwierdził te przywileje i rozszerzył je na całą Polskę. Polska była znana od tego czasu jako „raj żydowski" dlatego, że w innych częściach Europy żydów prześladowano lub ich tylko tolerowano.

* * *

Kiedy rycerze krzyżowi powrócili z Ziemi świętej, zaczęli w Europie budować okrągłe baszty, tak jak je budowali Arabowie. W tych czasach baszt tych było dość dużo. Dzisiaj jest ich tylko dwie. Jedna znajduje się w Carcassonne we Francji, a druga w Krakowie. Baszta ta z arabska nazywa się Barbican, a po polsku Barbakan lub też rondel.

* * *

Schuman, sławny kompozytor niemiecki, pisał do równie sławnego muzyka węgierskiego Liszta jak następuje: „Jak może Pan wyjaśnić to, że Chopin tak wielce nas interesuje, i tak przyciąga, jak żaden z kompozytorów naszego dnia? Odpowiedzą jest: to silna i wybitna narodowość, która go przepełnia, to narodowość Polski".

* * *

Za czasów królów polskich — Gdańsk był największym portem wywozu zboża w świecie. Zboże polskie składane corocznie w magazynach gdańskich, wynosiło miliony buszli.

* * *

Między portretami wykonanymi przez słynnego na cały świat malarza flamandzkiego Rubensa, znajdują się portrety dwóch królów polskich, Zygmunta III. i Władysława IV., którzy panowali w Polsce w XVII. wieku.

* * *

Wschodnie prowincje Polski, Wołyń i Polesie, zabrane Polsce w wieku XVIII. wróciły do Polski, pokojem zawartym w Rydze w 1921 roku. Angielski pisarz A. C. McDonell, który zwiedził prowincje te w Polsce, opisał swe spostrzeżenia w znanym czasopiśmie p.t. „Fortnightly Review", jak następuje: „Trudnym jest do uwierzenia, jakich zmian dokonali Polacy w tak krótkim czasie. Pustkowia obrócono na żyzne pola. Ludność, która składała się wtedy z bezdomnych włóczęgów, składa się obecnie z zamożnych gospodarzy, którzy są jakby wałem obronnym przeciw marszowi komunizmu".

* * *

Rząd polski utrzymywał dla mniejszości niemieckiej 490 elementarnych szkół z niemieckim językiem wykładowym. Poza tym wychodziło w Polsce 106 niemieckich czasopism.

JAK URATOWANO

Wśród wypadków dziejowych, jakie wyłoniły się wskutek najazdu Niemców na spoczywającą w błogim śnie Polskę, wyróżnia się krótki, ale ważny epizod uratowania skarbu polskiego, zapasów rezerwy w złocie, opisany według dokumentów posiadanych przez Rząd Polski we Francji.

Powtarzamy poniżej opis wypadków połączonych z tym dziejowym zdarzeniem, za czasopismem „Liberty", wg. artykułu Edw. Doherty.

Niemcy coraz bliżej Warszawy.

Polskie wojska cofały się, walcząc odważnie i zażarcie o każdą piędź ziemi polskiej. Niemieckie czołgi i pancerne samochody docierały coraz bliżej stolicy Polski — Warszawy.

Niebiosa zapełnione były brudnymi plamami i hukiem nisko latających samolotów niemieckich. Powietrze zapełnił smrodliwy dym i bezustanny grzmot wybuchających pocisków, trajkot karabinów maszynowych, a szczególnie przeraźliwy wrzask szalejących od trwogi, od bólu i od konania dzieci i matek polskich.

Zaniepokojenie o skarb Polski.

W biurze ministra Skarbu, w Warszawie, siedział i czuwał chudy, blady mężczyzna, Paweł Dombrowski, zaufany, 35-letni urzędnik skarbowy.

Telefon kilka razy zadzwonił zanim Dombrowski zwrócił na terkot dzwonka uwagę. Nareszcie ujął za słuchawkę, potrzymał w ręku obojętnie, a dopiero silne, dobitne wyrazy pobudziły go do uważnego posłuchania.

„Tak, panie Marszałku! Tak, panie Marszałku!" — kilka razy odpowiedział ...Pomyślał jednak: a nie jest to jakiś żart? Czemuż miałby naczelny wódz Armii Polskiej telefonować do pierwszego lepszego urzędnika skarbowego, pomimo, że pracuje w Ministerstwie Skarbu ?

Jednakowoż w głosie mówiącego nie było żadnych żartów... Dombrowski posztywniał i zamienił się w urzędnika przywykłego do spełniania rozkazów.

„Nie zdołamy obronić Warszawy", mówił Marszałek Śmigły-Rydz. „Bierz pan złoto ze skarbca krajowego natychmiast i wywieź na granicę i złóż do Banku Francji..."

„W Paryżu, panie Marszałku?" — pyta zdziwiony Dombrowski.

„W Paryżu!" — pada krótka odpowiedź.

„Rozkaz, panie Marszałku!" — służbista odpowiada.

Los Polski w ręku urzędnika.

Dombrowski zawiesił słuchawkę, ale ręce mu już drżały z wzruszenia. „Mój Boże!" — wybiegając z pokoju, westchnął... „Boże miły, przecież los Polski może zależeć od posiadania tego zapasu złota. A może i ode mnie. Jeszcze nigdy nic wielkiego w życiu, ani wymagającego odwagi nie zdziałałem. Przecież ja nie posiadam żadnego nadzwyczajnego sprytu. A jednak muszę to złoto do Paryża dostawić. Boże, dopomóż mi to uczynić!"

Przejęty swojem posłannictwem i zadaniem, urzędnik nie struchlał, nie załamywał rąk, lecz postanowił rozkaz spełnić.

Dombrowski zaczyna wykonywać rozkaz.

Zapasy złota Polski złożone były w schronisku na głębokości 60-ciu stóp pod gmachem Banku Polskiego Państwowego w Warszawie. Cały zapas mieścił się w setkach drewnianych skrzyń, ale ciężar zapasu był okazały. Wynosił bowiem 75 ton, czyli 150,000 funtów. Niby niewielka to waga, ani ładunek, do przewiezienia w inne miejsce w porze spokojnej, lecz olbrzymi i niezgrabny ładunek do usunięcia podczas szybkiej ucieczki, wobec nacierających błyskawicznie wrogów...

„Potrzeba mi przynajmniej pięćdziesięciu ludzi", oznajmił strażnikom skarbca Dombrowski. „Postarajcie się o tylu, ilu będzie można zaraz wyszukać, ludzi zaufanych, i to jaknajprędzej..."

Czterech strażników poszło szukać ochotników zaufanych. Inni pozostali na stanowiskach. W podziemiach skarbca panowała cisza grobowa. Przerywał tę ciszę od czasu do czasu grzmot spadających bomb niemieckich. Gmach bankowy drżał, jakby przerażony nagłym napadem.

W skarbcu warszawskim znajdowały się cztery piąte całego zapasu złota Polski. Reszta leżała w Banku Państwowym w Zamościu. Należało więc pospieszyć ze skarbem do Brześcia nad Bugiem, stamtąd do Zamościa, wreszcie z całym zapasem złota podążyć do przyjacielskiej granicy Rumunii. A przecież taki ważny konwój mógł tylko w nocy odważyć się wyruszyć w pochód, bo wieści o skarbie przecież ukryć bardzo, bardzo trudno.

Konwój? Jaki konwój? — lato po myśli Dombrowskiemu. Przecież wszelakie motorowe samochody ciężarowe i wozy pogotowia wojskowego zdatne do przewożenia ciężarów, zostały już dawno zabrane przez dowództwo wojenne. Wszystko zabrane... biadał Dombrowski, zakłopotany.

Doskonały pomysł

Dombrowski nagle roześmiał się i klasnął w dłonie. „Omnibusy!" — wykrzyknął z radością. Wyleciał jak strzała i schwycił za najbliższy telefon. Zawołał kilku znajomych, zaufanych kolegów, którzy pracowali w redakcji czasopisma finansowego Tym szybko oznajmił :

„Koledzy! postarajcie mi się o jak największą liczbę omnibusów. Nie pytajcie dlaczego. Znajdziecie je na Pradze i po mieście. Przyjedźcie z nimi do Banku Państwowego, jak tylko się ściemni..."

„Niemożliwe" — odparli na to przyjaciele. „Wróg bombarduje mosty. Praga już chyba dawno od Warszawy odcięta."

„Spróbujcie," błagał Dombrowski. „Muszę mieć te omnibusy za wszelką cenę", stanowczo im odpowiedział urzędnik skarbowy.

Przed zachodem słońca pierwszy szereg omnibusów jechał już po moście z Pragi do Warszawy, nie zważając na Niemców, którzy latali nad głowami jak upiory, poprzez grube kłęby dymów. Kierownicy omnibusów parli naprzód, wciskając się przez gęstwiny ludu błąkającego się w szale po ulicach, przez kupy i rumowiska ruin domów, rzeczy powynoszonych, pozostawionych wehikułów... poprzez trupy zabitych, dla których już nie było ani Ojczyzny, ani ratunku...

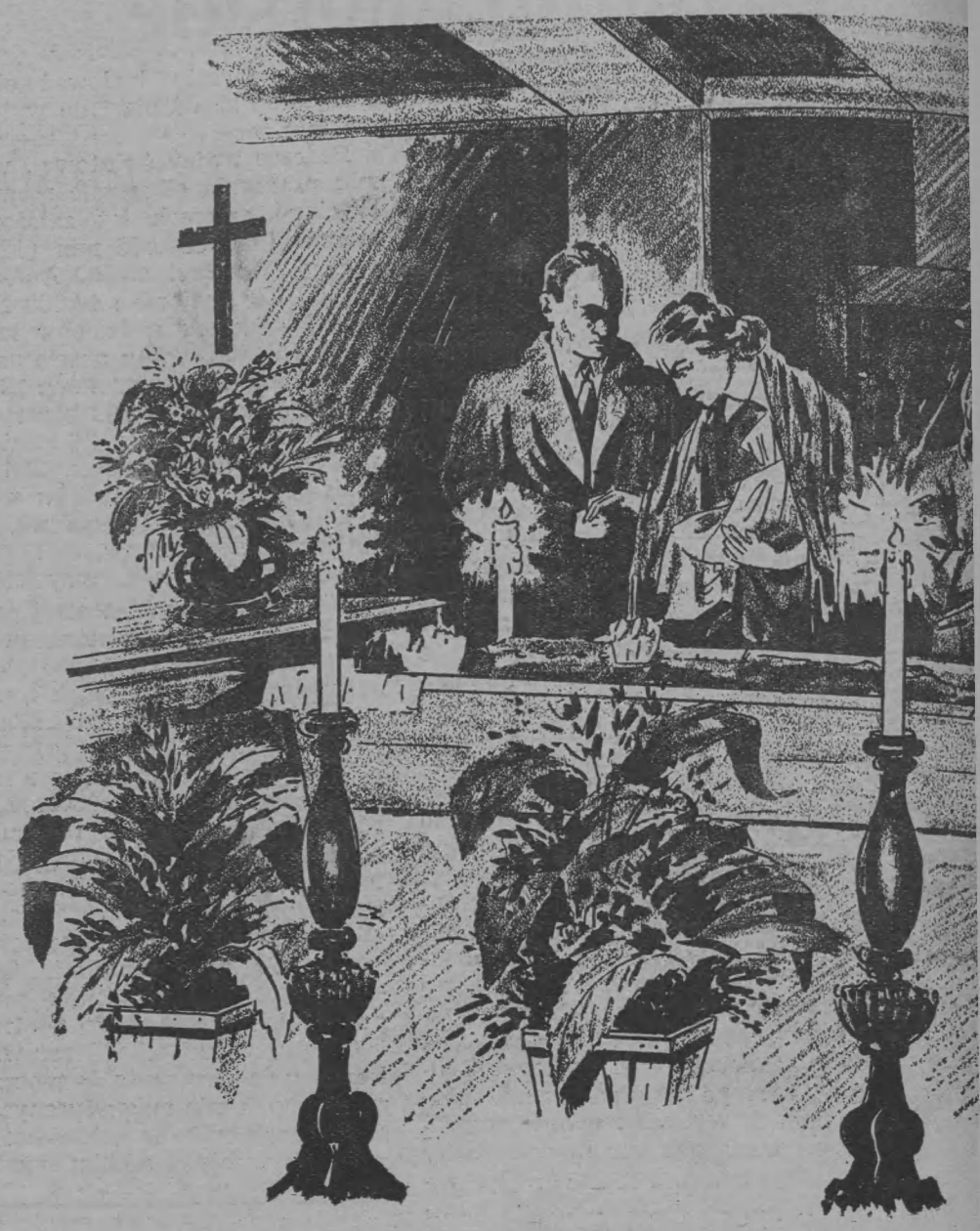

Stali naokoło trumny.

Omnibusy wyruszają w drogę.

Najprzód omnibusów było pięć, a wkrótce potem drugie tyle, kierowane przez zaufanych ochotników. W podziemiach mała armia zaufanych stróżów Skarbu Polskiego, policjantów, klerków, studentów, piekarzy, szewców, rzeźników, profesorów — zebrała się, ażeby godnie skarb Polski na miejsce bezpiecznego spoczynku odstawić...

Dombrowski z tej masy wybrał pewną liczbę. Oznajmił, że brak mu na większy konwój funduszów, a ucieczka ze złotem może być długotrwała i uciążliwa. Trzeba po drodze kupować gazolinę i żywność, więc im będzie mniej ludzi w konwoju, tym mniej będzie to kosztować.

Wybrał większą część zaufanych stróżów skarbu, sześciu policjantów, dwu dziennikarzy i sześciu niższej rangi urzędników, razem 20. Po dwu na omnibus i po jednym kierowniku. Reszcie ochotników rozkazał szybko skrzynie władować na omnibusy.

Po mozolnych wysiłkach, około północy, zaledwie połowę zapasów złota zdołano wynieść z podziemi. Dombrowski oznajmił, że trudno... i to musi wystarczyć... bo trzeba koniecznie w nocy jak najdalej złoto od Warszawy odwieźć, do Brześcia nad Bugiem. Potem trzeba wrócić po resztę ... Boże! pozwól tylko Warszawie, żeby się mogła przez następne kilka dni obronić!" — wzdychał w duchu Dombrowski.

Natłok na drogach przeszkadzał

Jak daleko okiem sięgnąć było można, drogi z Warszawy na wschód i na południe zawalone były uchodźcami z zagrożonej stolicy i z ziem przyległych. Innymi drogami znów spieszyły posiłki wojskowe na pomoc zagrożonej stolicy Polski. Omnibusy wlokły się powoli, bez świateł, ażeby nie zdradzić położenia lotnikom niemieckim.

Często, gdy omnibusy się zatrzymały, oblegane były przez zrozpaczone kobiety i dzieci, błagające kierowników o litość i zabranie ich z sobą. Ludzie nie wiedzieli, że to podstawa bytu ekonomicznego Polski wśród nich jechała. Ranni domagali się pomocy. Kobiety zdzierały z palców pierścionki, wydzierały z uszu kolczyki złote, ofiarując je za jazdę, lecz kierownicy tylko w milczeniu przecząco dawali znak głowami, że nic z tego.

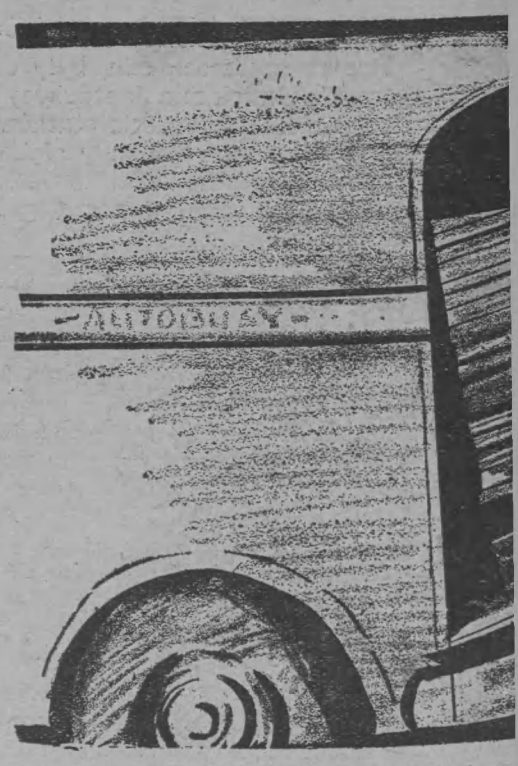

...rozkazał szybko skrzynie w

SKARB POLSKI

A w trumnie... B.I. 5307

Dnia 5-go września omnibusy dojeżdżały do Brześcia nad Bugiem. Omnibusy wjechały w gęstwinę leśną, gdzie je zupełnie zakryto gałęziami, ażeby nie były widziane znikąd. Dombrowski pieszo wyruszył do Brześcia. Chciał tam więcej omnibusów wyszukać. Myślał, że zostawi dziesięciu ludzi na straży skarbu w lesie złożonego, a znalezionymi, świeżymi omnibusami wy-

ładować na omnibusy. B.I. 5306

ruszy po resztę skarbu do Warszawy.

Ale, jak tu się upewnić, że Warszawa nie wzięta? W Brześciu żadnych omnibusów nie znalazł. Co gorsza, drogi zastał tak zawalone ciżbą ludzką, że nawet konwój, jaki prowadził, nigdyby był się dalej nie przedostał, gdyby do miasta wjechał. Postanowił więc wrócić omnibusami do Warszawy po resztę złota i do Rumunii potem zupełnie inną drogą ruszyć.

Przygoda z samolotem polskim

Dombrowski zauważył samolot polski, zestrzelony w walce i nowa nadzieja błysła mu w sercu. Gdyby samolot można było zreperować i wysłać na zwiady do Warszawy, wtedy napewno wiedziałby, czy warto do stolicy powrócić. Pobiegł w stronę samolotu i zdaleka krzyknął do lotnika: „Przyjacielem jestem — nie wrogiem! Spróbuj naprawić maszynę, bo Polska bardzo twych usług w tej chwili wymaga!"

Lotnik, tęgi brunet, kulejąc, podszedł do Dombrowskiego i odpowiedział: „Maszyna moja już więcej nie poleci..."

Dombrowski rozpaczliwie zaczął pilotowi perswadować, że musi mieć wieści o Warszawie. Lotnik rad nie rad, podszedł do samolotu, obejrzał go dokładnie i oznajmił, że w pobliżu znajduje się szkoła lotnicza, z której mogą otrzymać pomoc do naprawienia uszkodzonej maszyny. Poradził więc Dombrowskiemu by się tam udał, dostarczył mu gazoliny i przyprowadził dwu mechaników. Tak też Dombrowski natychmiast uczynił.

Wysiłki uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Przez cały dzień mechanicy z pilotem pracowali nad naprawą samolotu, a Dombrowski z osiemnastoma ludźmi po Brześciu szukali gazoliny. Przed zmierzchem samolot został naprawiony, połatany różnymi częściami innych maszyn lotniczych, a Dombrowski ze swoimi dostarczył dostatecznej ilości gazoliny.

Pilot nareszcie wzniósł się połatanym samolotem i odleciał w kierunku Warszawy. Dombrowski zajął się ponownie wyszukaniem dostatecznej ilości gazoliny na podróż omnibusami do stolicy. Znoszono gazolinę w naczyniach wszelkiego rodzaju i rozmiaru. Pomagały w tym gromady dzieci polskich, chłopców i dziewcząteк... Nie zważano, w jaki sposób gazolinę zdobywano. Jeżeli dzieci komuś gazolinę z maszyn wysączały — to wszystko robiono dla Polski.

Trudno. Taki to już zwyczaj, gdy w kraju panuje wojna.

Zanim się zupełnie ściemniło, zauważono od strony Warszawy ciemniejszą plamkę na horyzoncie. Pilot wracał z Warszawy, wreszcie wyrzucił z wysoka przedmiot, który Dombrowski szybko odszukał. Do puszki blaszanej przywiązana była karteczka z krótkim zdaniem: „Warszawa jeszcze nasza".

Dombrowski natychmiast rozkazał omnibusom wyruszyć w drogę do stolicy. Jechano drogami w nocy szybciej, bo mniej było ludzi, a widno była jak we dnie, bo wszędzie płonęły budynki, kościoły, szkoły, szpitale... Do północy zdołano resztę skarbu załadować na omnibusy, a przed brzaskiem już znajdowano się o czterdzieści mil od Warszawy... po bezpiecznym wydobyciu się z bombardowanego stale miasta.

Tak podróżował ten słynny konwój z całym zapasem przez cztery doby. Od czasu do czasu opony lub kiszki gumowe pękały, świeżych nie było, więc omnibusy wlokły się na oponach wypchanych trawą, błotem i żwirem. Gdy który z omnibusów ugrzązł na lichej drodze, wszyscy członkowie konwoju wysilali się, ażeby maszynę napowrót na drogę wydostać. Byle uciekać... byle uciekać... jak najdalej od Niemca...

Pościg niemiecki. — Dziwne spotkanie.

Niemiec jednakowoż i o wywiezieniu złota się dowiedział. Doskonale działała szajka szpiegowska w Polsce. Samoloty warczały bezustannie nad wszystkimi drogami, bombardując wszystkie podejrzane konwoje. Na szczęście konwój zawsze znajdował się dalej naprzód aniżeli o tym komenda niemiecka wiedziała. Dnia 8-go września znajdował się już daleko poza Łuckiem, na Wołyniu.

Na drodze Dombrowski znalazł samochód w dobrym stanie, który użył na zwiady, poprzedzając konwój na mil kilka. Jadąc tak jednego wieczoru, odważył się użyć latarni na przodzie maszyny. Po dziś dzień Dombrowski uważa to za przedziwne zrządzenie Opatrzności, bo zaraz zauważył idącą drogą... kobietę. W omdlałych rękach niosła dzieciątko. Zatrzymał maszynę i wyskoczył szybko chcąc dowiedzieć się co kobieta w nocy na opustoszonej drodze mogła robić... dokąd dążyła...

Zauważył, że kobieta była piękna, dobrze ubrana. Dowiedział się z jej opowiadania, że pochodziła z rodziny zamożnej, oraz, że dziecko to jej pierworodne, z którym uciekła ze szpitala zbombardowanego przez Niemcy w trzy godziny po urodzinach dziecka. Uciekała do domu rodzinnego, a w drodze już była całą dobę...

Dombrowskiego to uderzyło, że zawiniątko z niemowlęciem było suche, a suknie matki były mokre. Spytał się jej, czy padał deszcz tam, skąd ona przybywała? Deszcz? Myśl o deszczu ogromnie rozgrzała serce jego, bo ten upragniony deszcz mógł przecież zbawić od najezdnika Polskę!

Odpowiedź kobiety rozwiała jego marzenia. Nie, deszcz nie padał. Ona zmuszona była przeprawić się przez strumień, przez rzekę niezbyt głęboką po drodze, bo Niemiec zburzył most przez nią wiodący.

To zastanowiło Dombrowskiego. Więc Niemcy już naprzód się posunęli i burzą mosty, ażeby konwój ze skarbem nie uszedł... „Dzięki ci, Boże, za taką przestrogę" — pomyślał w duchu Dombrowski. „Pani nas ocaliła", oznajmił zdumionej kobiecie. „Gdybyśmy byli dalej pojechali, nigdybyśmy się z tymi omnibusami nie mogli przez rzekę przeprawić".

Co gorsza, zagrażało im wszystkim popadnięcie w niewolę Niemców.

Tragiczny los kobiety

Przemoczoną matkę z niemowlęciem, mdlejącą mu w ramionach, Dombrowski umieścił w samochodzie i wyruszył dalej w drogę. Kobieta wybuchnęła płaczem, przyciskając niemowlę do piersi tak silnie, że i dziecko kwilić żałośnie poczęło... A w oddali grzmiały wybuchy strasznych bomb niemieckich, posłańców grozy i zniszczenia...

Po niedługiej podróży dojechano szczęśliwie do domu młodej niewiasty polskiej. Zauważono, że z okien biło rzęsiste światło. Niewiasta roześmiała się, lecz przyznała, że tak się słabą czuje, że sama nie zdoła wejść do własnego domu... Prosiła, ażeby ją wniesiono z dziecięciem.

Dombrowski wniósł oboje do wnętrza.

Największy pokój, oświetlony, zapełniony był gromadą ludzi... Stali naokoło trumny... A w trumnie...

W trumnie spoczywał mąż nieszczęśliwej matki - Polki, oficer armii polskiej, który zginął podczas walki z najezdnikiem.

Dalsze koleje obrońców skarbu.

Z brzaskiem dnia 10. września konwój omnibusowy wyjechał do Śniatynia, na pograniczu rumuńskim. Rusini gromadnie wystąpili do jadących, przynosząc im jadło, papierosy, wino i odzienie cieplejsze. Opowiadali, że spodziewali się ich przybycia i o tym, że ich Niemcy poszukiwali.

Ze Śniatynia Dombrowski porozumiał się z ambasadorem w Bukareszcie, w Rumunii, poczem zarządził przewiezienie złota pociągiem do Rumunii. Dwunastu ludzi przez całą noc ładowało złoto do wagonów kolejowych. Inni stali na straży. Samoloty niemieckie bezustannie latały wysoko, spuszczając głownie, oświetlające tory kolejowe, lecz żadna z nich nie spadła w pobliżu dworca, gdzie złoto ładowano i nie zdradziła konwoju polskiego.

(Dokończenie na str. 10.)

Dawne historie z życia zwierząt

O białych niedźwiedziach, o koniach, szczurach i tygrysach

Historyj o zwierzętach jest bardzo wiele, ale nie wszystkie są zmyślone. W jednym z pism amerykańskich pojawiło się kilka ciekawych obserwacyj o zwierzętach. Opisy dowodzą, jak dalece przeciętny człowiek nie docenia inteligencji zwierząt. Wszystkie te historie są prawdziwe.

A więc niedźwiedź polarny, którego przyroda obdarzyła barwą futra, stanowiąca wspaniale przystosowanie do barwy śniegu. Jedno go tylko zdradza: wielki czarny nos, który jaskrawo odznacza się na tle białego futra, zlewającego się tak znakomicie z bielą północną. Otóż jeden ze znanych kanadyjskich myśliwych, przebywający od dziesiątek lat w okolicach podbiegunowych, stwierdził rzecz następującą:

„Niedźwiedź polarny poluje na młode psy morskie, którymi się chętnie żywi. Psy morskie (foki) siadają często na krach lodowych, przymykają oczy i wygrzewają się w słońcu. Tymczasem niedźwiedź czeka w odległości 50-ciu metrów. Czasami foka otwiera leniwie oczy. W tej samej sekundzie niedźwiedź podnosi szybko łapę i trzyma ją przed czarnym nosem. Ta gra powtarza się nieraz całymi godzinami, aż wkońcu uda się niedźwiedziowi zbliżyć się na parę kroków do foki i schwytać ją. Przeżyłem to sto razy i sądzę, że jest to dostatecznym dowodem, że niedźwiedź wie o swoim czarnym nosie, który go zdradza".

Wojenne manewry szczurów z kotami

Inne ciekawe spostrzeżenie podaje pewien amerykański korespondent z chińskiej prowincji Linan. Tam rozwinęły wielkie szczury zdumiewającą technikę wojenną przeciw kotom. Budują sobie prawidłowe okopy, w których kryją się w liczbie 20-tu do 30-tu. Gdy się zbliży kot, jeden ze szczurów poświęca się, ucieka z okopów i pozwala się ścigać kotowi do zasadzki. Gdy kot zajęty jest zjadaniem szczura, inne szczury rzucają się na niego, a wtedy wszelka obrona kota jest daremna. Korespondent ów donosi, że w ten sposób wyginęły w pewnej miejscowości wszystkie koty.

Podstępna walka dwóch wyścigowców

Że konie pełnej krwi, bohaterowie zielonego trawnika, wiedzą często bardzo dobrze, o co chodzi w wyścigach, dowodzą spostrzeżenia, poczynione przez pewnego starego trenera amerykańskiego, który przez długie lata był żokejem.

Żokej ten przedstawia szczegółowo wypadek z jednym ze swoich ulubionych koni, wabiącym się „Forester", który odniósł liczne zwycięstwa. W czasie głównych wyścigów, najniebezpieczniejszym jego konkurentem był ogier „Słoń". W odległości około 500 metrów od mety, „Forester" i „Słoń" biegli razem, potem udało się „Słoniowi" wysunąć nieco naprzód. W tej samej chwili „Forester" natarł gwałtownie na swego konkurenta i zręcznie podstawił mu nogę. Oba konie runęły, ale w każrym razie „Forester" osiągnął to, co chciał. Trener oświadcza, że każdy uważny żokej może potwierdzić, iż konie wyścigowe nacierają na siebie często w ostatnich sekundach i tratują się podkowami, tak, iż żokeje rozdzielają je tylko z trudem. Raz zdarzyło się nawet, że koń pobity o głowę usiłował po przebyciu mety ugryźć swego konkurenta.

Tygrysica umiała okazać wdzięczność

Zdarzyło się to w ogrodzie zoologicznym San Diego, gdzie żyje „Queenie", jedna z najpiękniejszych i najdzikszych tygrysic, jaką dotychczas widziano. Chociaż dozorca Johnson usiłował zawrzeć z tygrysicą przyjaźń, nie mógł się do niej zbliżyć. Gdy był raz nieostrożny, rozszarpała mu ramię. Miała piękną klatkę, odgrodzoną od publiczności szerokim i błotnistym rowem. Gdy w zimie zaczęły się deszcze, rów wypełnił się wodą.

Pewnego dnia „Queenie" wpadła do rowu. Pływała spokojnie, ale gdy miała dość, nie mogła się wydobyć, gdyż ześlizgiwała się po wilgotnych ścianach. Na jej lękliwe wycia zjawił się Johnson i mimo jej wściekłych spojrzeń, zdecydował się położyć nad rowem dwie deski. Potem kazał „Queenie" wypłynąć i położyć łapy na deskach. Zwierzę uczyniło to, chociaż było zupełnie wyczerpane. Z wielkim trudem Johnson wydobył zwierzę z rowu. Jeszcze parę sekund, a tygrysica byłaby utonęła.

Od tej pory tygrysica zmieniła swój stosunek do Johnsona. Na jego widok ryczy z radości głośno i uspokaja się dopiero wówczas, gdy Johnson zbliży się i pociągnie ją za ucho. Liże mu z wdzięczności ręce i jest zasmucona, gdy musi odejść. Inni ludzie nie mogą zbliżyć się do tygrysicy.

Straszne zjawisko, które wydaje się przerażać młodą kobietę, to cień sowy, wyolbrzymiony pod działaniem aparatów filmowych. (B.I. 5298)

Nareszcie znów na pastwisku... Po długiej zimie chwile to nader miłe. (B.I. 5297)

Jak uratowano skarb polski

(Dokończenie z str. 8 i 9).

Następnie pociąg z ładunkiem złota przybył do Constanzy, nad morzem Czarnem. Tam czekał na ładunek frachtowiec brytyjski, którego kapitan, Irlandczyk, serdecznie powitał bohaterskie grono Polaków, ale z żalem w głosie oznajmił, że załoga mu uciekła, obawiając się ataków niemieckich łodzi podwodnych na morzu. Jednakowoż po kilku godzinach zdołano zebrać marynarzy, czy dobrowolnie, czy gwałtem i ruszono w dalszą podróż, do Istambulu.

Tam się dopiero dowiedzieli uchodźcy, że Rosja wkroczyła z wojskami do Polski. Tam też zażądano 30,000 dol. za przewiezienie złota do Aleksandretty, w Syrii. Na szczęście jakiś, nieznany milioner kolejowy amerykański" wręczył pewnego dnia Dombrowskiemu potrzebną sumę i złoto przewieziono do Syrii, a stamtąd okrętem wojennym brytyjskim do Francji.

Dombrowski nie chciał ruszyć ani odrobinki skarbu nawet na przewiezienie złota do Syrii, tak skrupulatnie wypełniał rozkaz Marszałka.

W Paryżu otrzymał pokwitowanie, że skarb w całości dostawił na miejsce. Wychodząc z biur rządowych, nareszcie odetchnął i oznajmił kolegom :

„A teraz, koledzy, chodźmy poszukać tego miejsca, w którem udzielają zapomogi takim biednym uchodźcom polskim jak my ...to może nareszcie będziemy mogli pożywić się jak się należy..."

Cześć takim nieznanym, cichym bohaterom, którzy nie zwątpili w wolność i niepodległość Ojczyzny... lecz ratowali skarb Rzeczypospolitej, wiedząc, że przyda się to złoto do wywalczenia większej, potężniejszej, i nigdy już w przyszłości nie zagrożonej przez szwaba, lub bolszewika, Rzeczypospolitej Polskiej !

(Ciąg dalszy ze str. 5/6)

— Owszem, tak właśnie się nazywa. A dlaczego pytasz?

— Bo i o niej ojciec rozmawiał z owym nieznajomym człowiekiem białym.

— Cóż mianowicie rozmawiano o tej pani?

— Że i nad nią trzeba roztoczyć pilną opiekę.

— Cóż w tym dziwnego? Poprostu ów biały człowiek mógł być wywiadowcą angielskim, którego ojciec twój zaprosił do siebie, aby mu powierzyć opiekę nad tobą w czasie pobytu w Simli. Jest to zrozumiałe, jeżeli się zważy, że zwyczaj samotnego podróżowania kobiety hinduskiej jest bardzo rzadki tutaj. W obawie więc o ciebie, Kessudo, ojciec umówił się z wywiadowcą i zlecił mu opiekę nad tobą. A że jedziesz razem z panią Stadnicką i ze mną, więc wyjaśnienie Jana, ale widać było, że mimo wszystko logiczne jego i o nas była mowa w porozumieniu ojca z białym.

Kessuda się zamyśliła, jakby w głowie swojej rozważała te wywody lecz nie mogły jej jakoś trafić do przekonania. Jan to spostrzegł i zaczął ją raz jeszcze uspokajać.

— Kessudo, czy serce nic ci nie mówi? Czy nie szepce ci ono, że tam, gdzie ja nad tobą czuwam, włos jeden z głowy spaść ci nie może? Czy tak mało wiary pokładasz w moją obronę?

— Ja tobie wierzę w pełni, Janie, ale z drugiej strony pozwól sobie powiedzieć, że wy Europejczycy nie znacie wcale Indyj, ich charakteru, ludzi i w najmniejszej mierze nie jesteście wtajemniczeni w to wszystko, co jest życiem ludów wielkiego półwyspu, co stanowi dla uczonych Europejczyków zagadkę, ale co stanowi jednak moc daleko silniejszą, niż wszelkie moce fizyczne ludzi białych.

— Przestań zabawiać się w zagadki, Kessudo, gdyż nie ma tak źle. Powtarzam ci, że twoje podejrzenia są tylko wynikiem podenerwowania, jakie cię cechuje od czasu, gdy ojciec wzbronił ci zezwolenia na poślubienie mnie. Mówisz, żeś wychowana po europejsku, kochasz ludzi białych i ich zwyczaje i obyczaje, że pragniesz wolności osobistej w pełni. Bardzo to piękne. Ale czemuż nie chcesz do końca stać się człowiekiem wolnym? Ojciec nie pozwala na twoje małżeństwo ze mną. Niech i tak będzie. Ja obstaję przy swoim i pragnę cię poślubić nie z chęci zysku, nie dla materialnych dóbr starego Rustuma, ale dlatego, bo kocham jedynie ciebie jedną. Czemuż więc nie zgodzisz się bez zezwolenia ojca iść ze mną do urzędu stanu cywilnego?

— Nie mogę, Janie.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem dlaczego, ale mam takie wrażenie, jak gdybym spełniała zbrodnię, idąc do urzędu bez koniecznego błogosławieństwa ojcowskiego.

— Przesąd. Twój ojciec nie może się pogodzić z myślą, że ty, najbardziej kochana przez niego córka, ośmielasz się sama wybierać dla siebie męża, nie czekając aż on ci go wybierze, jak to w waszej kascie dzieje się od wieków. Wierz mi jednak, Kessudo, że dzisiaj na świecie takie zasady trącą myszką, są mocno przestarzałe i gdybyś o tym powiedziała naprawdę wolnej kobiecie białej wydrwiłaby cię i twoje przesądy.

— Może masz i rację, Janie, ale... nie mogę tak postąpić, jak mi doradzasz.

— W takim razie będziemy do końca naszego życia czekali na połączenie się legalnym węzłem małżeńskim, bo ojciec twój będzie tak długo kręcił, aż mnie lub tobie uprzykrzy się to czekanie i zrezygnujemy z wzajemnego posiadania się.

— Ja nie zrezygnuję nigdy.

— Kobieta zmienną jest zawsze i pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi. Możesz się więc i ty zmienić.

— Nie, ja się nie zmienię. I gdybyś mnie nawet porzucił, dotrzymam ci wiary i nigdy nie pokocham drugiego.

— Nie rozumiem więc tembardziej, dlaczego upierasz się przy swoim trwaniu i czekaniu na zezwolenie ojca. Możemy przecież wziąć ślub potajemnie i ojciec twój wiedział nawet nie będzie o tym. A ja przynajmniej będę miał tę pewność, że dotrzymasz mi wiary i stary Rustum do małżeństwa z kim innym zmusić cię nie będzie mógł, bo dostałby się za to do kozy.

Kessuda zastanowiła się nad tą nową propozycją, a potem powiedziała:

— Wiesz, Janie, to wcale dobry plan.

— Czemuż go więc nie wykonać?

— Wykonamy go, ale nie tutaj.I tak czasu nie mamy wiele. Poczekajmy do Simli. Tam wszystko umówimy szczegółowo i wykonamy. To będzie dobre.

Ożóg ucieszył się, że nareszcie ta sprawa jego małżeństwa która się ciągnęła już od tak dawna, dobija do pożądanego portu, do szczęśliwego zakończenia.

Rustum, nie chcąc dać swego zezwolenia na małżeństwo swej córki z człowiekiem białym, według własnych pojęć rozumował dobrze, a nauczony doświadczeniem z Rosjaninem, o którym wspominał Barłampowi, nie chciał córki swojej wystawiać na podobne ośmieszenie i wstyd. To była zaledwie pierwsza i najdrobniejsza strona jego oporu. Drugą, najważniejszą, było niepisane prawo o endogamii, które nakazywało wszystkim Parsom zawieranie małżeństw tylko w obrębie własnej kasty. To niepisane prawo uchroniło Parsów przez kilka wieków pobytu na ziemi hindów od zmieszania swej krwi z krwią jakiejkolwiek innej obco plemiennej kasty. Wreszcie, w dniach ostatnich, wręczono mu nakaz najwyższej rady kapłańskiej kasty Ariów, które było ostatnią pieczęcią przyłożoną na akcie oporu starego Rustuma.

Zakochani młodzi dłuższy czas jeszcze spędzili w publicznym parku, a gdy się rozeszli, każde podążyło w swoją stronę. Kessuda, znajdując się już w pobliżu domu ojca, w pewnej chwili natknęła się najniespodziewaniej na człowieka białego, którego święty znak na czole, namalowany czarną farbą w formie łamanego krzyża, wzbudził w niej obawę i instynktowny strach. Człowiek ten zobaczywszy ją, przystanął na chwilę, jakby chciał uważniej jej się przyjrzeć, a potem pośpieszył w trop za nią do zabudowań domu Rustuma.

W progu wejścia przystanęła i ciekawie obejrzała się za siebie. Nieznajomy Aria stał tuż za nią.

— Czego chcesz? — spytała ostro.

— Pragnę z tobą porozmawiać, Kessudo.

— Nie znam cię i nie chcę z tobą rozmawiać.

— Zna mnie twój ojciec, dostojny Rustum. Zapytaj go o mnie, Ramę Bahadura, a powie ci, kim jestem.

— Czyż nie jesteś Europejczykiem ?

— Jestem Aria, nie jestem Europejczykiem.

— Wyglądasz jednak na białego.

— Czyż tylko Europejczycy mają być biali? czyż nie nam oni zawdzięczają swoje istnienie na tej ziemi? Z pnia naszego oni się wywiedli, z naszego pnia językowego wzięli swój język.

— Ale ta wszystko nie tłumaczy bynajmniej, dlaszego zaczepiasz mnie na ulicy i wbrew mojej woli chcesz ze mną rozmawiać. Czy to zwyczaje Ariów tak nakazują?

— Zwyczaje Ariów są zwyczajami Parsów, którzy także są Ariami.

— Czego chcesz?

— Chcę z tobą porozmawiać w sprawie, która winna cię interesować. Chodzi o ciebie i o człowieka, który pragnie uczynić z ciebie swoją żonę. Temu człowiekowi grozi śmierć.

Serduszko Kessudy zabiło gwałtownie i niespokojnie.

— Wejdź — wskazała mu dom swego ojca. Nie poszła jednakże do wewnątrz, ale wyminęła rozmaite zakamarki i znalazła się na dziedzińcu obsadzonym drzewami dla cieni i kwieciem dla woni i przyjemności oka.

— Powiedz, skąd wiesz, że tego człowieka czeka śmierć i dlaczego? — spytała nieznajomego Ramę Bahadura.

— Ten człowiek obraził świątynię i bogów Ariów, kiedy z kraju Urus wędrował do Indyj. Najwyższa rada kapłańska postanowiła jego śmierć i mnie wyznaczyła do jej spełnienia.

Kessuda zadrżała ze strachu. Wiedziała dobrze, że Ariowie stanowią potęgę, z którą rzadko kto mierzyć się może. Jako potomkowie kapłanów starożytnych Ariów, stanowią najdoskonalszy typ yoga i znają wszelkie tajemnice życia i śmierci, jakich nie znają inni ludzie. Słyszała nawet niegdyś opowiadanie z ust swej piastunki, że yogowie Ariów mogą zadawać śmierć na odległość. Zadrżała więc teraz na myśl, że człowiek, którego ona ukochała całą swoją gorącą duszą i namiętnym sercem, może zniknąć z pośród ludzi żywych, zanim zakosztuje z nim wszelkich rozkoszy, jakie dopuszczone są z woli Najwyższego dla człowieka.

— Dlaczego przyszedłeś, Ramo Bahadurze, aby mnie to oznajmić ?

— Bo ty kochasz tego człowieka, Kessudo, i on kocha ciebie.

— Tym bardziej właśnie nie powinieneś mi o tym mówić. Powinieneś przewidzieć, że mi to ból sprawić musi.

— Ból, który ma spaść na nas, będzie mniejszy, jeżeli przywykniemy do myśli, że bogowie ześlą go nam.

— To mi zupełnie nie rozjaśnia, dlaczego przyszedłeś tutaj, aby mnie ostrzec, iż człowiek, którego ukochało moje serce, ma zginąć, bo tak postanowiła najwyższa rada kapłańska.

— Wysłuchaj mnie, a zrozumiesz: w życiu ludzkim działają dwaj bogowie, albo jak to wierzycie wy, Parsowie, dwa duchy: duch dobra i duch zła. Oba te duchy staczają ustawiczne boje o duszę ludzką, która jest cząsteczką światła Przedwiecznego. Jeżeli człowiek skłania się ku duchowi złemu — ginie po to, aby się odrodzić w gorszej postaci w drugim życiu. Jeżeli sprzyja duchowi dobremu, ten nakazuje mu cnotami zasługiwać na Nirwanę. Tak jest i z człowiekiem któregoś pokochała. Człowiek ten trzymał dotąd stronę ducha złego. Jeżeli zatem zginie, odrodzi się w gorszej postaci w nowym życiu. Naszym obowiązkiem jest zawsze: chronić ludzi, aby nie zaprzepaszczali tej cząsteczki bóstwa, które noszą w sobie, a którą ludzie biali zowią duszą. Mam rozkaz zniszczenia człowieka, który obraził świętości Ariów, ale...

— Ale co? Czy możesz go jeszcze uratować? — zapytała pośpiesznie Kessuda.

— Mogę, ale pod warunkiem...

— Mów, mów, jakie stawiasz warunki?

— Człowiek ten musi przebłagać obrażone bóstwa.

— Co ma uczynić? Jaką złożyć ofiarę?

— Ofiarę czynu. Nie powinien jednak wiedzieć o tym, że ja z tobą rozmawiałem, nie powinien znać niczego, co ma prowadzić go do poprawy. Będzie twoją rzeczą tak pokierować, aby zmienił on się sam przez się. Gdyby wiedział o warunkach, czyniłby poprawę pozornie, a nam chodzi o pełnienie poprawy z samych najczystszych pobudek czynienia dobra.

— Co mam uczynić, Ramo Bahadurze?

— Niech on stanie się w Simli tym dobrym duchem, który wszystkie wiadomości, jakie znał będzie, powierzy tobie. Ty zaś powierzysz te wiadomości mnie. Staraj się zawsze wpływać na niego, aby uległ woli twojej, a wola ta winna być skierowana w jednym tylko kierunku, a to — aby najwięcej dobra działać dla najwyższej rady kapłańskiej, która wyrazi swoje życzenia w każdym czasie, gdy zajdzie tego potrzeba.

— Chcesz więc, aby Sahib Jan słuchał między białymi, zapamiętał ich rozmowy i powierzał je następnie mnie. Czy tak?

— Zrozumiałaś dobrze.

— A jeżeli on tego czynić nie zechce?

— Wtedy zginie i ty nie zaznasz nigdy zadowolenia i szczęścia. Pamiętaj, że przed zasięgiem rąk rady kapłańskiej niema ucieczki, że ręce nasze dosięgną go nawet w samym sercu władztwa ludzi białych.

Kessuda wierzyła i nie wierzyła temu wszystkiemu. Krytycyzm wszczepiony jej podczas studiów w dalekiej Europie, nakazywał ustosunkowanie się sceptycznie do tego wszystkiego, co usłyszała. Ale cały balast pochodzenia, zwyczajów i tego wszystkiego, co otacza i wypełnia życie człowieka tubylczego w Indiach nakazywał wiarę w słowa zasłyszane. To, co mówi Rama Bahadur, nie było niczym nadzwyczajnym. Wszakże podobne wypadki zdarzały się już niejednokrotnie. O jednym z nich sama Kessuda wiedziała dobrze. Pewnego razu, dwóch awanturników białych wdarło się do świątyni buddyjskiej i ograbiło bogaty posag Sziwy z wszelkich kosztowności. Szczęśliwie zbiegli z łupami do Europy, a w rok później prasa doniosła o ich nagłej śmierci w jednej godzinie, chociaż oddaleni byli wtedy od siebie o setki kilometrów. Podejrzewano otrucie, ale najściślejsze badania nie doprowadziły do wykrycia z jakich składników złożona była trucizna i jak się to stało, że ludzie ci zmarli w tajemniczych okolicznościach, wykluczających poza tym podanie trucizny nawet na parę godzin przed śmiercią.

— Czy to wszystko, co mi masz do powiedzenia Rama Bahadurze?

— Na dzisiaj i na dni następne — wszystko. Spotkamy się w Simli.

Kessuda nie odpowiedziała ani tak ani nie. A gdy się spostrzegła, że należy jednak coś odpowiedzieć, Ramy już nie było. Z ciężkimi myślami powlokła się do siebie aby tam przemyśleć wszystko, co usłyszała. I nie mogła wiedzieć, że w czasie, gdy ona rozpamiętywała straszną groźbę w samotności w swoim mieszkaniu, tajemniczy Rama Bahadur rozmawiał szeptem w mieszkaniu ojca o tej samej sprawie.

— Więc jej nakazałem, Sahibie? — szeptał Rustum.

— Tak.

— Czy wierzysz, że wypełni wszystko?

— Jeżeli kocha go prawdziwie i głęboko, wypełni na pewno.

— Czy jedziesz także do Simli?

— Tak, wyjeżdżam jutro z rana. Muszę być tam, gdzie będzie ta druga biała kobieta.

— Po co ci to? Co cię ona interesuje?

— Istnieje w kosmosie wiele rzeczy nieznanych laikom, które ludzi łączą już w zaraniu ich życia. Zanim się narodzą, choćby najdalej od siebie, bywają ze sobą złączeni niewidzialnymi nićmi i wcześniej lub później zejdą się, aby się wypełniło to, co napisane.

— Słowa te są prawdziwe, Sahibie. Czy słyszałeś, co się ostatnio stało w Bombaju ?

— Mów, Rustumie.

— Kupiec Devi, handlujący tkaninami, ma tu córkę, 11-letnią Shanti Devi. I oto dziewczyna ta powiedziała pewnego razu ojcu, że przypomina sobie poprzednie swoje życie w Mutrze, mieście jak wiadomo, o paręset mil oddalonym od Bombaju i twierdzi, że w niej zamieszkała dusza pewnej 23-letniej kobiety, która zmarła na rok przed urodzeniem się Shanti.

— Kupiec Devi, handlujący tkaninami, ma tu córkę, 11- letnią Shanti Devi. I oto dziewczyna ta powiedziała pewnego razu ojcu, że przypomina sobie poprzednie swoje życie w Mutrze, mieście, jak wiadomo, o paręset mil oddalonym od Bombaju i twierdzi, że w niej zamieszkała dusza pewnej 23- letniej kobiety, która zmarła na rok przed urodzeniem się Shanti.

Do czwartego roku życia Shanti była bardzo milcząca, ale następnie zaszła w niej dziwna zmiana i coraz częściej opowiadała o swoim poprzednim życiu, używając takich n.p. powiedzeń: „W moim domu w Mutrze dziewczynki nosiły inne suknie". Poza tym uparcie powtarzała, że pochodzi z kasty choban i że jej mąż jest wielkim kupcem. Opowiadała ponadto o domu swego męża podając między innymi, że był on pomalowany na żółto i wyrażała chęć udania się do Mutry.

Przed rokiem jej nauczyciel zainteresowany tym wszystkim, zapytał dziewczynki, jak nazywał się jej mąż. Shanti z miejsca odpowiedziała, że Kodar Nath Chubey.

Okazało się, że w Mutrze rzeczywiście mieszka kupiec nazywający się Kodar Nath Chubey, którego ja nawet osobiście znam gdyż był u mnie dwa razy przed paru laty i do dzisiaj bierze u mnie towary dla swego sklepu. Sprowadzono więc tym razem Chubeya do Bombaju wraz z jego dziesięcioletnim synem i jego drugą żoną. I dziewczynka z miejsca oświadczyła, że to jej mąż. Kupiec, nie mogąc w to uwierzyć, zadał jej kilka pytań, na które mogła odpowiedzi udzielić wyłącznie jego zmarła żona. I dziewczyna Deviego odpowiedziała na nie z taką dokładnością, że kupiec był wzruszony do łez i doszedł do wniosku, że rzeczywiście dusza jego zmarłej żony zamieszkała w ciele Shanti.

Po tym oświadczeniu, złożonym przez kupca, Shanti została zawieziona do Mutry i zrobiono tam z nią takie doświadczenie: Polecono Shanti zaprowadzić do domu męża - towarzyszące jej osoby. Doświadczenie to udało się znakomicie, Shanti bowiem zaprowadziła ich tam tak pewnie, jak gdyby była mieszkanką Mutry.

Przed domem Chubeya wydarzył się zaś wypadek, który wszystkich bardzo zdziwił. Na spotkanie Shanti wyszedł pewien staruszek, którego dziewczynka nigdy poprzednio nie widziała. Zapytano ją, czy go poznaje. Shanti bez wahania odrzekła, że tak i oświadczyła, że to ojciec jej męża. Następnie uklękła przed nim, dotykając z szacunkiem głową jego stóp.

W domu Chubeya Shanti czuła się jak u siebie w domu i wskazała, jaki pokój należał do niej. Następnie Shanti udała się do ogrodu, aby wykopać skrytkę, w której przechowywała pieniądze na czarną godzinę. Skrytki tam jednakże nie było. Okazało się bowiem, że po śmierci żony, kupiec który wiedział o istnieniu skrytki, wykopał ją.

Wszystkie te fakty wywarły tak olbrzymie wrażenie na osobach towarzyszących Shanti do Mutry, że są przekonane, iż rzeczywiście w jej ciele zamieszkała dusza zmarłej żony kupca Kodar Nath Chubeya.

— A ty wierzysz w to, Rustumie? — zapytał Ramo.

— Trudno nie wierzyć gdy się widzi na własne oczy taką prawdę.

— I dobrze robisz Rustumie. Najwyższy ten jeden raz tylko pokazał ludziom naocznie, że dusze nie błądzą nigdzie, jak to powiadają ludzie biali, ale wcielają się w inne istoty i przechodzą reinkarnację tak długo, dokąd nie osiągną pełni doskonałości. Dlatego i ja wierzę, że kobieta, której pragnę, jest moim przeznaczeniem, muszę więc za nią iść wszędzie, jak idzie człowiek za swoim przeznaczeniem.

— Sahibie, wszakże kobieta ta ma męża!

— Wiem o tym, ale mąż nie jest jej przeznaczeniem i dlatego musi odejść i ustąpić mnie miejsca.

— Tych dwoje jednak żyje szczęśliwie i w spokoju.

— Są to pozory, Rustumie. A wszystko, co nie stałe, musi ustąpić miejsca temu, co ma być trwałe.

— A sprawa, w której działamy? — przytłumił jeszcze bardziej głos Rustum, jakby się obawiał, że szept ten może być przez kogoś usłyszany.

— Jest w toku. Nie obawiaj się, udział twój zostanie nagrodzony należycie i skrzywdzonym nie będziesz.

— Ach, Sahibie, ja nie myślę nawet o nagrodzie. Wiesz, ile ci zawdzięczam dobrego i wiesz również, jak bardzo zależy mi na tym, aby to, co jest z prawa bożego i ludzkiego nasze, naszym znowu się stało.

— Stanie się, Rustumie. Wierz i działaj. Musimy zespolić wszystkie siły, aby nawet samemu szejtanowi wydrzeć z gęby to, co nie jego.

— Oby się to stało.

— No, pójdę już, Rustumie. Pamiętaj o przykazaniach i bywaj zdrów.

— Bywaj zdrów Sahibie.

IV

DESHMUTH I CRIM.

Zapakowani do samochodu, wyposażonego we wszystko, co do dalekiej drogi do Simli było potrzebne, Lila z Ożogem opuścili wyspiarsko- handlarski Bombaj, miasto piekielnych żarów, kurzu, świętych krów i gorączki złota i pojechali w stronę gór, których stąd wprawdzie nie było jeszcze widać, ale na wspomnienie których zdawało się czynić na ciele chłodniej.

Uścisnąwszy sobie po raz ostatni dłonie, Ożóg zatrzasnął drzwiczki samochodu i puścił maszynę w ruch, a Barłamp ze Stadnickim, pokiwawszy jeszcze dłońmi na pożegnanie, skierowali swoje kroki do inspektoratu policji.

Tymczasem Deshmuth, wyminąwszy ich na ulicy z taką miną, jakby Barłampa po raz pierwszy w swoim życiu widział, poszedł w oddaleniu kilku kroków za nagusem, który z utykaniem na prawą nogę, kierował się w stronę ogrodu zoologicznego.

Ale gdyby nawet Barłamp był się bardzo uważnie przyjrzał Deshmuthowi, gdyby nawet specjalnie się był nim zainteresował, nie byłby w tym nagusie bynajmniej rozpoznał zawadiackiego babu i wiernego sojusznika wszelkich poczynań wielkiego białego Sahiba Redcliefa. Deshmuth bowiem teraz wyglądał zupełnie inaczej, niż w kostiumie europejskim. Był nagi, opalony, z przepaską na biodrach, na całem ciele wysmarowany popiołem, włosy miał związane na czubku głowy w węzeł, słowem - wyglądał na najprawdziwszego saddhu, który przybył do Bombaju tylko w tym celu, aby odwiedzić jedną z przelicznych świątyń buddaistycznych.

Deshmuth wlókł się ociężale wśród dziesiątków jemu podobnych saddhu, przebierał paciorki wielkiego różańca, mruczał jakieś modlitwy i tak posuwał się wciąż naprzód i naprzód, nie spuszczając z oka idącego przed nim crima Angadiego.

Przeszli tak środek miasta, minęli dzielnicę mahometańską, zagłębili się w okolice Parsów. idąc jeden za drugim nieodstępnie, jak dwa cienie, które w żaden sposób rozstać się nie mogą. W odległości jakichś dziesięciu kroków za Deshmuthem postępował drugi podobny do niego saddhu Mir Jaggidar, kolega pierwszego saddhu, jeden z tych, którego w swoim czasie ukradł Angadi.

Crim wszedł do ogrodu zoologicznego i, omijając miejsca zaludnione, podążył w stronę obszernej sadzawki, po której pływały wspaniałe białe łabędzie. Tutaj na brzegu wody, usiadł i nogi wsunął w sadzawkę. Babu Deshmuth ulokował się o parę kroków za nim w zaroślach eukaliptusowych. Wyciągnął się na puszystej trawie i zniknął w niej, stał się niewidoczny. Po chwili zaczął jednak posuwać się na brzuchu do samej ścieżki, aby w dalszym ciągu nie spuszczać z oka Angadiego. Czekali tak obaj długi czas i obaj zapewne jednakowo nie wiedzieli, na co czekają. Deshmuth był senny i musiał używać całej siły swej woli, aby się opędzić senności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ogień a ludzie

Chodzenie po ogniu niewyjaśnioną zagadką dla uczonych. — Picie topionego szkła. — Węgiel na głowie. —

Wiedza zajmuje się obecnie najróżnorodniejszymi problemami. Nic więc dziwnego, że zainteresowała się m. in. zagadnieniem, czy ludzie mogą chodzić boso po rozpalonych do czerwoności węglach?

Niektóre żywoty świętych podają nam wiadomość, że ten czy inny święty miał dar, który pozwalał mu chodzić po ogniu. Historia święta opowiada nam o Danielu i o młodzieńcach babilońskich, którzy wyszli cało z ognistego pieca.

W 17 wieku niejaki Richardson zdumiał całą Anglię. Wobec świadków, godnych wiary, gryzł i połykał węgle, które gorzały jeszcze w jego ustach. Pił topione szkło i wosk rozpalony. Mniej więcej w tym samym czasie sławna Marie Sonnet kładła się na dwu żelaznych taburetach, postawionych nad wielkim ogniem i pozostawała na nich przez czas „wystarczający do upieczenia całego cielaka".

W czasach mniej oddalonych, — bo w roku 1923 — medium, Annie Hunter, rękoma wyjmowała w transie wprost z pieca rozżarzone węgle. Pewnego razu jeden z reporterów „Daily Expressu" zapragnął być obecnym przy takim doświadczeniu. Annie wyjęła węgiel rozpalony do czerwoności i położyło mu go na głowie. Dziennikarz nie odczuł przytym żadnego bólu. Gdy jednak po upływie dobrej chwili sięgnął po węgiel ręką, — poparzył sobie palce bardzo boleśnie.

„Fire walk", chodzenie po ogniu, jest obrzędem rozpowszechnionym na Fidżi i wyspach pobliskich. Krajowcy wykopują tam szerokie kolisko o trzech metrach średnicy; ziemię wybierają na głębokość metra, następnie wypełniają tę jamę dużymi okrągłymi kamieniami i rozpalają na nich wielkie ognisko z drzewa. Drzewo to winno być ścięte w miejscu świętym.

Przy ścinaniu drzew zachowuje się pewien rytuał. Celebrujący uderza zlekka po brzegu jamy pałeczką magiczną, poczem wchodzi boso na rozżarzone kamienie, a za nim postępują wszyscy, którzy chcą mu towarzyszyć.

Zdarzało się już, że i Europejczycy brali udział w tej ceremonii. Tak np. pułkownik Gudgeon de Rarotonga chodził po rozżarzonych kamieniach w dniu 20 stycznia 1898 roku. Twierdził on, że nie odczuwał wcale żaru, tylko ukłucia podobne do lekkich wyładowań elektrycznych. Jednakże kamienie musiały być naprawdę rozżarzone, bo gdy pułkownik zeszedł z nich, rzucono na nie zielone gałązki, które natychmiast stanęły w ogniu.

Prasa angielska pisała dużo o przejściu przez ogień, dokonanym przez niejakiego Kuda Bux, muzułmanina z Kaszmiru. Doświadczenie to odbywało się pod kontrolą profesorów i lekarzy. Przejście przez ogień miało miejsce w Carshalton. Przygotowano tam dwa rowy długości 4 metry na 1.50. Do rowów tych włożono 7 ton szczap dębowych, pewną ilość faszyny, węgla drzewnego i sześćdziesiąt litrów parafiny. Gdy ta ilość materiału palnego stanęła w ogniu, temperatura mierzona przy pomocy specjalnego termometru wynosiła 350 stopni Celsjusza. W chwili dokonania tego pomiaru Kuda Bux wszedł boso w ogień i przeszedł zwolna wzdłuż rowu. Za każdym krokiem stopa pozostawała w kontakcie z ogniem przez 2 sekundy.

Przed przejściem przez ogień i i bezpośrednio po przejściu profesor Pannet, chirurg naczelny szpitala Sainte Mary, badał i obmywał stopy Hindusa. Nie znalazł na nich ani śladu jakiegokolwiek preparatu chemicznego, ani też poparzeń. Dodajmy, że dwaj świadkowie tego doświadczenia (jednym z nich był M. Digby Moynagh, dyrektor szpitala), chcieli również przejść przez ogień, ale musieli się cofnąć po dwu krokach ze strasznymi oparzeniami.

Ale żadne ze świadectw nie odtwarza nam przejścia przez ogień tak dokładnie i z takimi szczegółami, jak sprawozdanie księdza biskupa Misory w Indiach angielskich, który był obecny podczas przejścia przez ogień, dokonanego w obecności maharadży.

W marcu r. 1921 maharadża Misory zaprosił mnie na „przejście przez ogień". Przygotowano rów długości 4 metrów, a szerokości 2 metrów, który zawierał warstwę węgla grubości 25 cm. Po przybyciu podszedłem do stosu i obejrzałem go. Buchało z niego straszliwe gorąco.

W chwilę później przybył maharadża z rodziną i dworem. Zajęliśmy miejsce o jakieś 25 metrów od stosu, a bohater dnia, muzułmanin z północnych Indyj, padł na twarz przed władcą, potem podszedł do ognia. Myślałem, że wejdzie sam w płomienie, ale on zwrócił się do jednego ze służby pałacowej, a gdy człowiek ten wzdragał się, popchnął go za ramiona w ogień. Sługa zawahał się chwilę, ale później na twarzy jego pojawił się uśmiech. Zwolna przeszedł przez ogień.

Po nim poszli dwaj inni słudzy. Potem przybyli muzykanci, wśród których było paru chrześcijan. W tej chwili na ogień rzucono zwał suchych liści i płomienie buchnęły na wysokość człowieka. Muzykanci przeszli przez nie ze swymi narzędziami i nutami.

Z pozwoleniem króla dwaj Anglicy przeszli również przez stos. Gdy podeszli do mnie, zapytałem, jakie były ich wrażenia?

— Widzieliśmy, że jesteśmy w płomieniach, ale nie czuliśmy ich.

Tak wygląda to dziwne zagadnienie, które wiedza rejestruje, ale którego nie potrafi wytłumaczyć.

100 milionów lat leżała pod ziemią

Pewien australijski robotnik, zatrudniony przy budowie szosy, natrafił na skamieniałą rybę, która 50 do 100 milionów lat leżała pod ziemią. B.J. 5286

Fale ultra-krótkie mają zwalczać mgłę

Smithsonian Institute w Waszyngtonie — postanowił zwalczać mgłę zapomocą bezgłośnych dźwięków, czyli zapomocą tak zwanych fal ultrakrótkich. Istnieją sposoby wywoływania drgnień rozmaitych kryształów, trwających znacznie krócej aniżeli jakiekolwiek drgnienia, wywołujące wrażenie akustyczne.

Fale ultrakrótkie.

Jak wiadomo, gdy ilość drgnień na sekundę wynosi więcej niż 16.000 to już nie słyszymy żadnego dźwięku, mimo, że struna wysyła intensywne fale głosowe w powietrze. Otóż istnieją metody, umożliwiające wytwarzanie takich bezgłośnych fal głosowych przy pomocy fal drgających więcej niż 16,000 razy na sekundę. Powstające wówczas fale głosowe, tak zwane ultrakrótkie, powodują cały szereg zjawisk nieraz bardzo sensacyjnych. Między inymi właśnie także rozpraszanie się mgły. Otóż można sobie wyobrazić, że na okręcie, który dostanie się w mgłę, uruchomi się kilka takich aparatów, wysyłających fale dźwiękowe ultrakrótkie i w ten sposób uzyska się czyste pole widzenia. Pod wpływem bowiem tychże fal, drobniutkie kropelki mgły zaczynają silnie drgać i łączą się w wielkie krople, spadające jako deszcz. — Na lotniskach amerykańskich będą umieszczone niebawem specjalne syreny, które w czasie mgły będą wytwarzały krótkie fale głosowe. Próby te są arcyciekawe. Kto wie, czy tędy właśnie nie wiedzie najlepsza droga do zwalczania mgły, dającej się we znaki wszystkim niemal środkom komunikacyjnym.

Pamiętać jednak należy, że fale ultrakrótkie dźwiękowe wywierają bardzo silne działanie fizjologiczne. Mogą one poważnie szkodzić także i ludziom, znajdującym się w ich polu działania. I pod tym względem więc próby waszyngtońskie mogą przyczynić się do wyjaśnienia sprawy. Może za parę lat już nietylko para królewska ale i zwykli śmiertelnicy będą mogli odbywać normalnie podróż morską bez obawy przedłużenia jej spowodu mgły.

Praca, rozrywka, ser

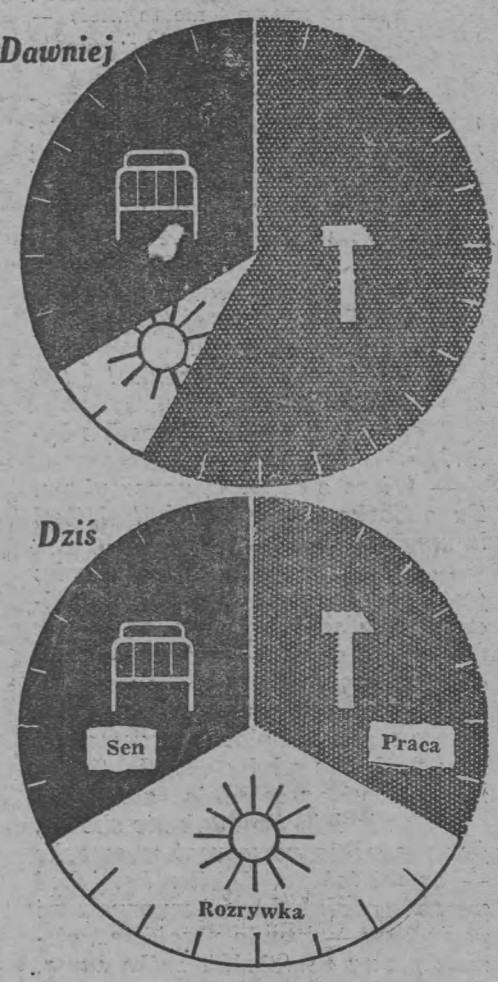

Idealny podział doby człowieka pracy; kiedyś praca trwała przeciętnie 14 godzin, dziś osiem. B. J. 5300

„Najczystsza" rasa w Niemczech

Swego czasu fuehrer Adolf Hitler, dyktator Trzeciej Rzeszy, ulegalizował wszystkie dzieci nieślubne w Niemczech i zwrócił się równocześnie w wydanym dekrecie do Niemek z zachętą, że skoro tylko która zechce „przysporzyć państwu nowych obywateli" w stanie nieślubnym, spotka się z wszelką pomocą materialną władz państwowych, jeśli swój „zamiar" zarejestruje w odnośnym urzędzie...

Wedle depeszy korespondenta berlińskiego New York Times, owocność tego dekretu jest pokaźna. — Niewątpliwie Niemcy wyprzedzili pod tym względem wszystkie narody na świecie. Depesza opiewa, iż liczba nielegalnych urodzeń w Trzeciej Rzeszy między rokiem 1934 (kiedy Hitler doszedł do władzy) a 1937-ym, wzrosła z 25 do 28 na każdy tysiąc Niemek, w wieku między 21 i 25 rokiem życia, oraz 15 na 20 na każdy tysiąc Niemek w wieku między 26 i 30 rokiem życia.

Mimo tej ofensywy, połączonej z rozmaitymi nagrodami za każde dziecko w stadłach legalnych, spadek urodzeń w Rzeszy między rokiem 1934 i 1937-ym zmniejsza się tylko z 8,6 na 7,7, czyli o niecały jeden procent. W innych słowach wzrost urodzin poprawił się tylko o niecały jeden procent.

W ostatnich dwóch latach odsetek dzieci nielegalnych wzrósł, lecz statystyki nie ogłoszono jeszcze.

Dekret Hitlera w tym wypadku, wobec przestrzegania czystości rasy niemieckiej, był koniecznością. Aczkolwiek tej kategorii Niemcy nie mogą wykazać narodowości ojca, a w pewnych wypadkach i narodowości dwóch par dziadków, przez „magiczny dekret" fuehrera, stają się 10 procentowymi Niemcami...

Z biegiem czasu mają tworzyć elitę nazizmu, która będzie głosiła swą „wyższość rasową" nad innymi narodowościami...

Na rybę za duża, na łódź podwodną za mała

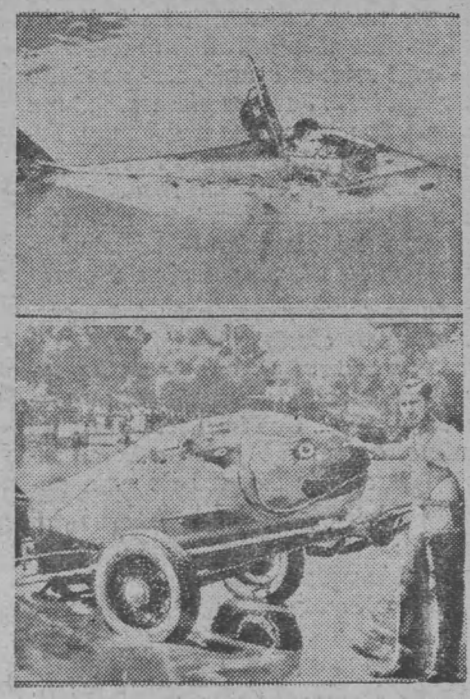

Pomysłowy amerykański wynalazca zbudował maleńką łódź podwodną, z którą odbył już z powodzeniem liczne podróże. Na zdjęciu widzimy „rybę" na lądzie i w morzu. B. J. 5287

Starszy Strzelec Grosik Pisze liścik do swej Zosi

„Quelque part" albo „Gdzieś", (ni to miasto, nie to wieś) — w marcu 1940 r.

Droga Zosiu!

Po Twym liście tak mi było promieniście, to znów smutek mi doskwierał... Sprałem Kubę — żal mi teraz. Żal mi może nie tak Kuby, tylko żem z kompanii ubył; nie na długo, bo na tydzień... Ano w wojsku różnie przyjdzie. Nie pozwolę jednak, aby z Malmaisonu jakieś draby kleiły się do mej Zosi — nie pozwolę, jakem Grosik!

Mówię: Kuba, do kaduka! tyś mię okpił i oszukał!

A on: Kiedy? — czyś spadł z byka?

— Wiesz o czym ja napomykam. Tu o Zośkę się rozchodzi! Nibyś kumpel a jak złodziej!

— Wojtek, zamilcz! Twoja Zocha jest i będzie zawsze płocha! Do każdego zęby szczerzy!

— Kłamstwo! — mówię — nie chcę wierzyć! A on mi ci opowiada, żeś Ty jemu jak mnie rada, żeś se poszła z nim w opłotki na romanse, na zalotki, że gdyby chciał, Zośko miła, tobyś zaraz mnie zdradziła.

Tum nie ścierpiał. Jak nie skoczę, jak nie palnę go wprost w szczękę — on mi też podstawił rękę, jakoś przeszła obok bokiem i wyprysła mi pod okiem — lecz to przejdzie... ciemna plama pomaleńku znika sama. Lecz on za to z swojej gęby wypluł na glanc aż dwa zęby, te wprawiane w Henin - Lietard... Ledwiem tylko oko przetarł a tu stoi pan kapitan.

— Jak to, Grosik — gniewnie pyta. Tom was zrobił starszym strzelcem, byście wybijali kielce?... A ty draniu ladajaki! — Szefie! wsadzić go do paki!

— Tak jest, panie kapitanie! — rzekłem — ale strzelec Kuba, te dwa zęby miał na śrubach, które właśnie gwint puściły.

— Gdyś w nie palnął z całej siły.

— Bo też kunda zatracony czepia się mej narzeczonej — mówię — panie kapitanie.

— Wyście obaj równe dranie! To mnie wcale nie rozczula! Szefie, wsadzić go do ula!... Czy nie uczę, do stu czortów: krzywda? — stawaj do raportu! A on mi tu osioł stary sam stosuje wymiar kary i w pysk wali swego druha, aż mu ciurkiem spływa jucha. Strzelec Kuba! Zabrać zęby! Sierżant, dać mu koszarniaka, by mu przeciąg nie psuł gęby! Dla Grosika zwykła paka — cały tydzień! To ci zuchy, prać się będą o dziewuchy, ten o swoją, ten przez cudze... Ja wam zapał wnet ostudzę!

A więc, Zosiu, w taki sposób nie dopuścił mię do głosu, no i w pace siedzę właśnie, niechto dunder nogą trzaśnie!

Nie narzekam, nie przeklinam, choć to Kuby była wina. Ale za to jest szczerbaty i nie pójdzie już na swaty, bo — powiadam Ci — wygląda niby pewna część wielbłąda. Dobrze mu tak, a gdy z paki wyjdę, wydrę ze łba kłaki, jeśli szczerze nie przeprosi mnie i drogiej mojej Zosi.

Ślę Ci z paki pozdrowienia — już niedługo, do widzenia! I całuję Cię z pieszczotą w krasną buzię, główkę złotą.

Twój najwierniejszy WOSIU.

Zocha Nitka bardzo rada Dla Wojtaszka odpowiada

Evin-Malmaison, w kwietniu 1940

Wojtku drogi! Wojtku miły!

Sny się moje już sprawdziły. Właśnie wczoraj gdzieś nad ranem — Kaśka spała ode ściany — śniło mi się najwyraźniej, żeś się, Wojtku, bardzo zbłaźnił. Któż to widział? — czyś miał w czubie, iżeś naprał o nic Kubie?... Jeszcze piszesz, żeś mu z gęby te wprawione wybił zęby. Teraz siedzisz, Wojtku, w kozie, jak cielątko na powrozie. Prawdę mówiąc to ten Kuba wart, by z kłaków go oskubać, ale zęby — bój się Boga! To rzecz trochę nazbyt droga!

Ja se teraz u dentysty też wprawiłam ząb złocisty — wiesz, ten z boku, z prawej strony — na haczyku, bez korony, a kosztował mię — no, zgadnij!... Coś trzy setki, lecz mi ładnie. Patrz, ząb jeden a koszt taki! Nie dziwię się, żeś do paki poszedł za dwa zęby Kuby. Tak nie można, mój Ty luby!

Całe szczęście, że on o tym nic nie pisał do Doroty, niby do swej czułej matki... oj, byłyby znowu gadki! oj, byłyby znowu plotki!

Byłam wczoraj u swej ciotki i mówiłam jej na ucho, że nie uszło mu na sucho, temu Kubie. Ciotka na to: „Oj, nie dobrze, ty smarkato! Po co piszesz takie bzdury? — a słuchałeś ci z nich który? — a czyś pewna, że ten Grosik na ambonie cię ogłosi i czy z tobą sie ożeni? — a papiery mo w kieszeni?"...

— Na co? — pytam.

— Do żyniaczki... A czegóż tak spiekosz raczki?... To sie wie, ze gdy chłop chodzi, to jak przyszły mąż lub złodziej.

— Kiedy — mówię — ciotko droga, w Wojtku przecież nie mam wroga, ni złodzieja, jak mówicie... ja go kocham ponad życie, zresztą w wojsku jest...

— Wiym o tym... i ze lubi robić psoty. Ady cy to tajemnica?... Toć on z Franką po ulicach wciąż wystowoł i do Florki chodził często na wiecorki. Potem była niespodziaka, tym znowuj Florka tyz jeździła po dochtorkach... Chłop jak kuzdy, więc pamiętaj gdy Zielone przyńdą Świynta....

Tak mówiła moja ciotka... Czy to prawda, czy to plotka? A może to prawda nawet?... Wojtku, teraz mam obawę czyś mi wierny tam w Obozie — prawda, teraz siedzisz w kozie... Ach, ta dola, ach, ta wojna!... takam teraz niespokojna i o szczęście swe się boję....

Pisz i rozprosz niepokoje, pisz o wszystkim, Wosiu słodki i już przyślij mi Twe fotki. Bardzo tęsknię i z tęsknoty aż usycham, mój Ty złoty....

Już nie gniewaj się na Kubę — ot, wypijcie wina kubek i niech wśród was będzie zgoda... Tak mi jego zębów szkoda...

Pozdrowienia ślę od bliskich, a od siebie znów uściski i całusów sto słodziutkich, mój Ty słodki i milutki — Twoja ZOCHA.

Odpisał Czesław Mondrzyk.

Humor

Siła przyzwyczajenia.

— Proszę uśmiechnąć się.

Dezerter.

Izydor Pypeles podczas wojny światowej został wcielony do armii austriackiej.

Gdy tylko oddział zbliżył się do linii bojowej, Pypeles doszedł do wniosku, że rola bohatera nie odpowiada mu zupełnie i nie namyślając się długo, dał nura.

Noc zaskoczyła go w lesie.

Nad ranem, czując, że ktoś go ciągnie za ramię, otwiera oczy i z przerażeniem stwierdza, że stoi przy nim oficer austriacki.

— Co tu robisz? — pyta surowo oficer.

Panie poruczniku, mnie się zrobiło trochę niedobrze, to ja trochę wyszedłem, panie poruczniku, żeby przyjść do siebie, panie poruczniku !

— Psiakrew, do stu piorunów! Dlaczego tytułujesz mnie stale panem porucznikiem? Czy nie widzisz, że jestem pułkownikiem, dowódcą pułku ?

Pypeles łapie się za głowę.

— Dowódca pułku? Uj, to ja już tak daleko uciekłem ?

★

Pantofel jakich mało.

— Przyznaj mi się, czy twoja żona także tak ciebie nie dopuszcza do głosu ?

— Zdaje mi się, że jeszcze mniej jak ciebie. Mam wrażenie, że gdybym zaniemówił, spostrzegłaby to dopiero po paru miesiącach . . .

★

Z życia szkolnego.

Na lekcji przyrody nauczyciel mówi :

— Na poprzednim wykładzie mówiliśmy o fruwających rybach. Malowańczyk, opowiedz nam, co wiesz o nich ?

Malowańczyk, oczywiście nic nie pamięta. Przez chwilę namyśla się, wreszcie mówi :

— Do fruwających ryb zaliczamy sardynki.

— Malowańczyk, czyś ty oszalał ?

— Na razie nie, ale przeczytałem w gazecie, że przywieziono tu w samolocie kilka tysięcy pudełek sardynek.

Szczyt tresury.

Pan Zenobiusz Homan kupił sobie zieloną papugę. Ptak okazał się niezwykle pojętny i wkrótce powtarzał zasłyszane zdania.

Pewnego razu Homana odwiedził kolega. Gospodarz przede wszystkim pokazał mu papugę.

— To jest bardzo mądry ptak, prawie wszystko mówi — pochwalił ją pan Zenobiusz.

— A dlaczego ona teraz nic nie gada? — zapytał znajomy.

— Bo pogniewaliśmy się i od wczoraj nie rozmawiamy z sobą . . .

★

Praktyczna nauka geografii.

— Odrazu można poznać, że wiatr ten wieje z południa.

Krótkowidze.

— Idzie pani Grubasińska. Udamy, że jej nie widzimy.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

O wiewiórce, którą bolały zęby

W lesie, gdzie rosną sosny, i brzóz też nie brak, i dębów, wiewiórka w przeciągach wiosny dostała bólu zębów. Straszna to rzecz dla osoby, co twarde zajada rzeczy, więc też wiewiórka sposobu szuka, by zęby wyleczyć. Zaś mąż, tych rzeczy świadomy, gdy żona płacze napoły, radzi zawezwać do domu dwa piękne, czarne dzięcioły. Wiadomo przecież od wieków, że dzięcioł jest lekarz leśny, co prawda — od drzew, a nie kłów, o czym śpiewają pieśni. Lecz kiedy niedola wielka, drzewny konował może wyleczyć biedną wiewiórkę, która tak cierpi, nieboże.

W tym samym lesie, na dębie, w dziupli, głębokiej na łokieć, mieszkały czarne dzięcioły, przesławne z wiedzy wysokiej. Żyły bez troski o jutro, żadne nie gryzły ich braki, bo przecież nie tylko dzieci — i drzewa mają robaki. Dzieci — dlatego, że jedzą cukierki, ciastka i lody, a drzewa? — chyba dlatego, że piją za dużo wody! Miały więc jadła do syta, zwłaszcza, że taki pan lekarz zjada chorobę, i basta, na honorarium nie czeka! Do nich więc idzie mąż damy, co, kiedy na drzewach tańczy, jest w słońcu dziwnie podobna do żywej pomarańczy.

— Dzień dobry !

—Witam wiewiórkę. Co słychać?

Jakże tam dzieci ?

— Dziękuję, lecz może dzięcioł do mojej żony przyleci? Strasznie ją bolą zęby, nie je orzechów, ni szyszek, a pan jest wielkim lekarzem, jak o tym od wszystkich słyszę.

— Hm, jestem ponoć doktorem, ale nie leczę kobiet. Strasznie kapryśny to naród; raz miałem tu wilgi obie. Za dużo w lesie gwizdały i gardła miały spuchnięte; kazałem pić leśną rosę i dziobać o świcie miętę. Czy myślisz, że posłuchały? Gdzie tam! Namówiłby którą na przyzwoitą kurację! A teraz gwiżdżą ponuro...

— Jeżeli chodzi o żonę, to czasem posłuszna bywa. Niechże pan dzięcioł już leci; rada mu będzie, szczęśliwa. Jeżeli trzeba kolegi dla podtrzymania głowy, jak najzupełniej jestem podwójnie płacić gotowy.

— O honorarium nie chodzi. Jeżeli leczę, to tylko za pozwolenie zjedzenia w sąsiedztwie robaków kilku.

Tu dzięcioł zaskrzeczał dziwnie, prawie tak samo, jak sroka, odwołał głosem kolegę, co siadł na sośnie wysoko, i cała trójka leciała na pomoc biednej wiewiórce: mąż — skacząc zwinnie po drzewach, dzięcioły — lecąc po chmurce.

Wiewiórka, jak to kobieta, zamiast zaczynać od zębów, prowadzi gości dostojnych do dziupli w konarach dębu.

— Może herbaty z poziomek? może żołędzi smażonych? a może orzechy w miodzie, troszeczkę przypalone ?

—Potem — o i owszem — rzekł dzięcioł, główny od zębów majster — lecz mimochodem radzę: z słodyczy robi się klajster. Raz miałem takie zdarzenie, że żona po setkach z miodem umiała sobie okładać bolący brzuszek lodem. A teraz proszę otworzyć pyszczek, jak można najszerzej... Patrzcie! skorupa z orzecha tkwi w dziąśle! Niech pani leży... Zaraz to wyjmę... już, chwilka... O, jest!... Musiało boleć? Już, prawdę powiedziawszy, drzewa kurować wolę!

Wiewiórka westchnęła z ulgą, pięknie dygnęła doktorom i prosi jak najusilniej do zębowego dworu. Jakie tam było przyjęcie, jakie płynęły przemowy! Nasiona z szyszek, orzechy, placek z żołędzi zdrowy! Mazurki z pestek wiśniowych, ze śliwek również omasta; tymczasem obaj lekarze łyknęli po żuczku, i basta.

Odchodząc, starszy pan doktór nałożył okulary (wydał się przez to poważny, i bardzo groźny, i stary) i rzekł do pani wiewiórki, dziób przechylając troszkę :

— A na dobranoc myć ząbki szczoteczką i miałkim proszkiem! Szczoteczka z pędów jałowca, a proszek może być z próchna, lecz wynik tego zabiegu — że dziąsła nigdy nie puchną.

Już zachód szedł szybko niebem; po lesie kłóciły się wrony. Słońce świeciło skroś drzewa nie złoto, ale czerwono. Było spokojnie i dobrze, aż żyć się miało ochotę, więc dwa poważne dzięcioły wracały do domu piechotą.

J. W.

Czego czynić nie należy...

...znęcać się nad zwierzętami.

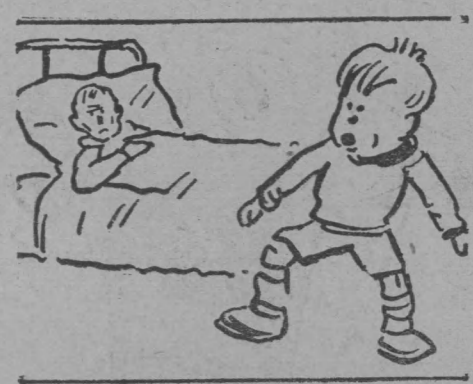

...zakłócać spokoju choremu

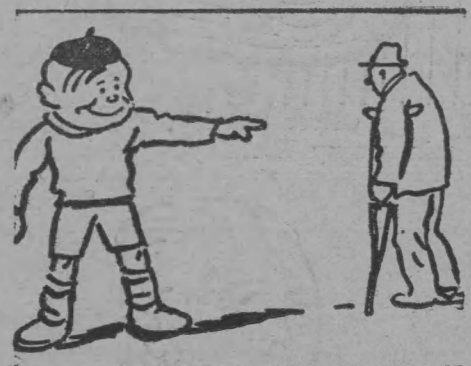

...naśmiewać się z kaleki.

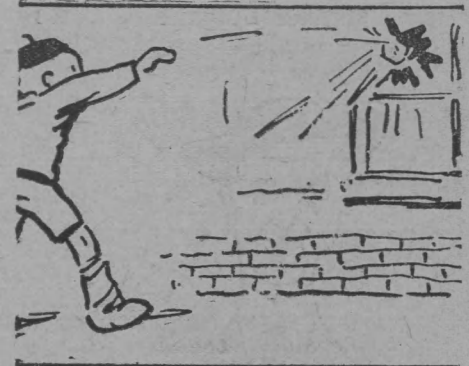

...wybijać szyb.

Do skowronka

Kto cię uczył, mój skowronku,
Takie piosnki grać ?
Wstajesz rano, nucisz słonku,
Jakże mi nie wstać, niebodze,
Jakże mi nie wstać ?

A skąd i to, skowroneczku,
Takie trele, takie granie,
Takie pieśni uroczyste,
Jak w kościele na organie ?

Kto cię uczył, ptaszku szary,
Taki nucić śpiew ?
Toż w tym śpiewie dziwy, czary,
Szumy stary drzew, płakanie,
Szumy starych drzew.

W twojej piosnce tęsknej,
[rzewnej,
Polnych kwiatów modły słyszę,
Pacierz brzozy za umarłych,
Wieczorową tajną ciszę.

W śpiewie twoim ptaku drogi.
Co płynie wśród pól,
Czuję nasze ciernie, głogi,
Czuję wielki ból mej ziemi,
Czuję wielki ból.

Pędziwiatr.

Mnie nie zatrzyma nic:
ja jestem pędziwiatr.
Gdy mam zamknięte drzwi
oknem wylecę w świat.

Dopiero — tu, już — tam:
po ciszy lubię gwar.
Chmury po niebie gnam,
chłodzę słoneczny żar.

Mój pan — to jeden czas,
mój dom — to cały świat.
Mnie nie zatrzyma nic:
ja jestem pędziwiatr.

Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY

BON

udowadniający zakup nr. 234 „ILUSTRACJI POLSKIEJ" uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi dobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „NARODOWCA" **w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku przy pracy** — w myśl warunków, ogłaszanych :-: w „NARODOWCU" :-:

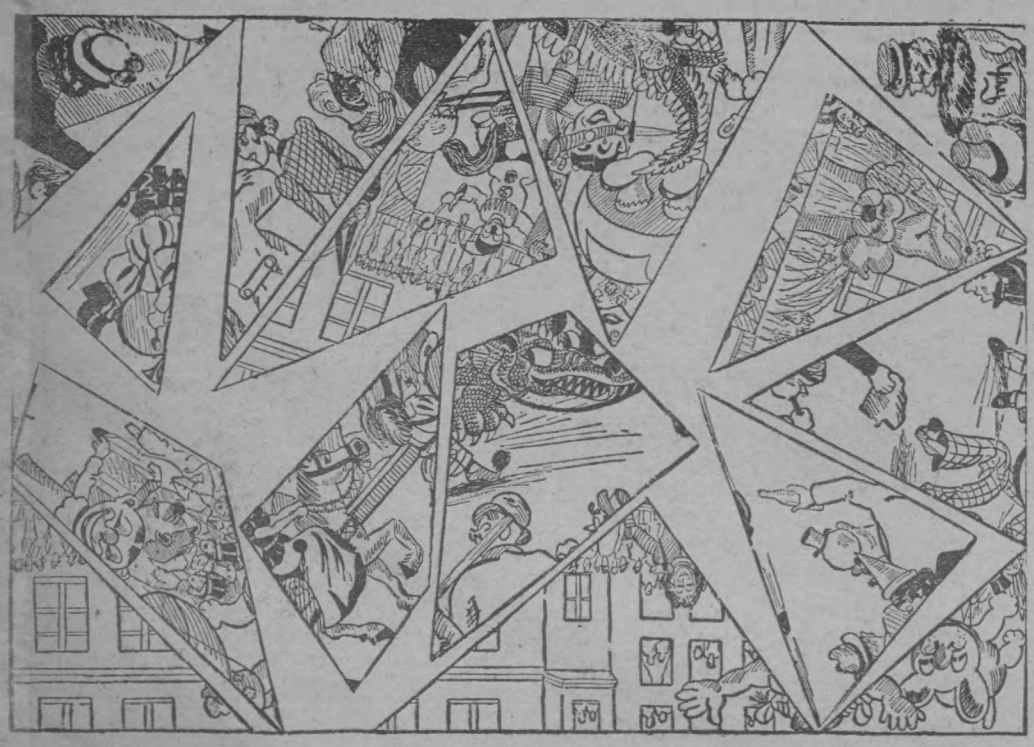

Ciekawaroz rywka. — Spróbujcie złożyć rozsypankę, aby otrzymać zamieszczony obok obrazek.

Znani nam ludzie w karykaturze.

Popow,
premier Bułgarii B.I. 5268

Oliver Stanley,
min. wojny Wielkiej Brytanii
B.I. 5269

General Weygand,
naczelny wódz francuskich sił zbrojnych na Bliskim Wschodzie.
B.I. 5270

Bastianini,
ambasador włoski w Londynie, były ambasador w Warszawie.
B.I. 5271

Sumner Welles,
amerykański podsekretarz stanu dla spraw zagranicznych.
B.I. 5272

Myron Taylor,
osobisty delegat Roosevelta przy Watykanie.
B.I. 5273

De Geer,
premier Holandii.
B.I. 5274

Ronald Cross,
brytyjski minister dla wojny gospodarczej. B.I. 5275

Tatarescu,
premier rumuński. B.I. 5276

Generał Sir Walter Kirke,
naczelny wódz brytyjskiej armii lądowej.
B.I. 5278

Christian Günther,
min. spraw zagranicznych Szwecji.
B.I. 5277

Generał Sikorski,
premier Polski i wódz naczelny jej armii. B.I. 5279

Hrabia Paweł Teleki,
premier węgierski. B.I. 5280

Dr. Cwetkowicz,
premier jugosłowiański.
B.I. 5281

Gafenku,
minister spraw zagranicznych Rumunii. B.I. 5282

Edward Daladier,
minister obrony narodowej Francji
B.I. 5283

Imprimerie „Narodowiec" (M. Kwiatkowski) rue Emile Zola — LENS (Reg. de Com.: Béthune nr. 21231). Le Gerant: Stanisław Ostojak — LENS.